Nr. 51. Lwów, Niedziela dnia 26. Sierpnia 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

ZJAZD
BYŁYCH UCZNIÓW
szkoły rolniczej w Dublanach.

Silna konkurencya zagranicy, spotęgowana ułatwieniem komunikacyi i zmianą sposobu gospodarowania, oraz nieustanny wzrost cen ziemi zmusza rolnictwo nasze do chwytania się nowych środków zwiększenia produkcyi, a szybki w ostatnich czasach rozwój nauk przyrodniczych, wpływając na wydoskonalenie techniki rolniczej, daje z drugiej strony możność zadość uczynienia tym nieubłaganym wymaganiom zmienionych okoliczności. Dwie te pobudki popychają nas przeto na nowe, a nie znane dotąd drogi. W Niemczech podobny zwrot objawiać się zaczął w pierwszej połowie bieżącego wieku; dla nas zaś chwila ta dzisiaj nadeszła. Stoimy więc na przełomie. Chcąc wstąpić na drogę, którą wskazuje nam konieczność czasu, zerwać musimy z tradycyą i empiryzmem, a oprzeć się na naukach ścisłych. Lecz któż prowadzić nas ma po tych nowych szlakach? — czy ci, którzy wcześniej już na nie wstąpili, a zrozumiawszy wymagania wieku, zbierają dziś owoce swej pracy? Na pozór tak by się zdawać powinno; lecz jeśli bezwzględne naśladownictwo zagranicznych naszych sąsiadów w jakimkolwiek kierunku daje się choć w części usprawiedliwić, to na polu rolniczego postępu może być nader szkodliwem. My powinniśmy wyrobić sobie własne poglądy, własną metodę, słowem — własne i zastosowane do miejscowych potrzeb teorye gospodarowania.

Dotychczas wszelkie w tym kierunku prace były udziałem praktycznych naszych rolników. Łącząc się w towarzystwa, oparci na wieloletniem własnem doświadczeniu, stanowili oni wyrocznię w kwestyach gospodarczych — lecz dziś już areopag taki nie wystarcza. Od chwili, w której rolnictwo stało się *nauką*, instytucye *naukowe* winny ster objąć.

U nas jedna tylko istnieje taka instytucya. Skromnym był jej początek, rozwijała się powoli, nieznacznie, przechodziła różne, niekiedy smutne koleje, będąc zmuszoną walczyć nieustannie z licznemi przeciwnościami, z których najważniejszą i najboleśniejszą zarazem była i jest dotąd — obojętność względem niej ogółu. Domyślają się czytelnicy, że mamy tu na myśli Dublany. Tak małe interesowanie się jedyną wyższą szkołą rolniczą w rolniczym z natury kraju chyba tylko zakorzenionem zdawna uprzedzeniem wytłómaczyć można. Lecz kto znał szkołę dublańską przed kilkunastu, a nawet przed kilku laty i z wrażenia, jakie podówczas na niem zrobiła, chce sądzić o dzisiejszym jej stanie, ten zapomina, że z gąsienicy wykształcić się może z czasem motyl o tęczowych skrzydłach. Nie należymy bynajmniej do bezwzględnych wielbicieli szkoły dublańskiej; znamy wszystkie jej niedostatki i nie wątpimy, że wiele jeszcze pracy, starań i nakładów wymaga postawienie jej na punkcie odpowiadającym dzisiejszym potrzebom naszego rolnictwa; lecz z drugiej strony nie możemy ignorować faktów zdradzających rzetelny rozwój i wielką dziś żywotność tej instytucyi.

W obecnym czasie zadanie szkoły dublańskiej nie może ograniczać się tylko na kształceniu jednostek mających kiedyś pracować w zawodzie rolniczym; zakres jej działalności nieórwnie obszerniejszym być musi, jeżeli szkoła ta ma zająć stanowisko, jakie się jej słusznie należy. Jako jedyna u nas wyższa instytucya naukowo-rolnicza, ująć ona powinna w swe ręce kierownictwo spraw dotyczących gospodarstwa całego kraju i przodować im na drodze postępu; od tego ogniska nauk rolniczych rozchodzić się winno światło, pomoc i zachęta do dźwigania tej najważniejszej gałęzi produkcyi — na cały obszar Galicyi. Tego od szkoły gospodarstwa wiejskiego w Dublanach wymagają okoliczności dzisiejsze, takie zadanie stawia jej krajowe rolnictwo.

Z radością przeto widzimy, że szkoła Dublańska zrozumiała to zadanie i poczuła w sobie dość siły aby mu sprostać. Nie dwuznacznym tego dowodem jest projektowany zjazd byłych jej uczniów mający się odbyć podczas wystawy we Lwowie, o którym przed kilkunastu już dniami doniosły miejscowe dzienniki. Cel zjazdu napozór skromny, lecz to właśnie wykazuje, że inicyatorowie pojęli dobrze obecną sytuacyę i pierwszy ten krok z zupełną stawiają rozwagą. Najprzód trzeba zbliżyć się i porozumieć wzajemnie, obliczyć moralne swe siły, zapoznać szerszą publiczność ze szkołą; — następnie dopiero można o czemś ważniejszem pomyśleć. Zbliżenie się to, poznanie wzajemne i obliczenie sił swoich osiągniętem być może jedynie przez wymianę poglądów, wiadomości i spostrzeżeń z dziedziny gospodarstwa wiejskiego, a to w formie naukowych punktów programu; obznajomienie zaś naszej inteligencyi rolniczej z dzisiejszym stanem szkoły gospodarstwa wiejskiego w Dublanach, ułatwionem będzie przez uczestnictwo w zjeździe bardzo wielu osób, nie wchodzących w skład tej instytucyi, które zaproszone być mają przez komitet zajmujący się jego urządzeniem.

Sądzimy, że ze zbliżenia się tego dawnych i teraźniejszych uczniów i profesorów szkoły dublańskiej na zjeździe, wyniknąć *mogą* i *powinny* projekta, mające na celu przedewszystkiem związanie rozstrzelonych sił rolników naszych i skierowanie ich ku wspólnym celom, które nie dadzą się nigdy osięgnąć przez pojedyńcze usiłowania jednostek; wierzymy, że zjazd myśl tę postawi na pierwszym planie w projektach dążących ku utrzymaniu zawiązanych stosunków między szkołą a dawnymi jej uczniami i z myśli tej ważnych dla naszego rolnictwa spodziewamy się rezultatów — lecz czy ziszczą się te nadzieje... niedaleka to przyszłość okaże.

IWAN GROŹNY

Urywek z powieści historycznej Kostomarowa „Kudiejar"

(Dokończenie).

Wyszli wszyscy zostawiwszy w sali torturowej bagna z krwi, trupów pokaleczonych, smród i dym duszący i jednę jeszcze żywą osobę, Tułupowa na palu, patrzącego w mę-

kach okropnych na leżący u nóg jego trup matki.

Zadzwoniono na nieszpory. Oprycznicy bili jak pierwej pokłony, a car czytał z rozrzewnieniem psalm: „Błogosław duszę moję panie!“ Po wieczerzy car kazał zawołać Kudiejara.

— Siadaj, — rzekł car łaskawie do Kudiejara,—siadaj i opo wiedznam o twoich przygodach; a niemało ty, biedny, przecierpiałeś biedy, lecz za toś widział wiele ciekawości.

Kudiejar zaczął rozpowiadać o swych wędrówkach. Car słuchał go z uwagą. Gdy opowiadał o przykrościach, które wycierpiał w więzieniu Kafińskiem, car przerywał mu westchnieniami i wykrzyknikami: „Ach, zbójcy, ach, dzikie ludojady!“

Kudiejar skorzystał z tak łaskawego usposobienia cara i wspomniał o swojej żonie.

— Biedna, jak ona biadowała za tobą!

— Carze-gosudarze, — rzekł Kudiejar i rzucił się do nóg carowi: — pokaż twą łaskę ojcowską. Całe życie moje będę się za ciebie modlił do Boga! Przeleję krew za ciebie, pana mojego! Pozwól mi zobaczyć moję żonę.

-- Zobaczysz, zobaczysz, — rzekł car. — Miej trochę cierpliwości. Jużeś wytrzymał jednę próbę. Będzie druga. Wypełnisz tę — będzie trzecia, zobaczysz wtedy twoję żonę. A teraz opowiadaj dalej.

Kudiejar mówił dalej i gdy skończył, car kazał mu dać dzban tęgiego miodu i rzekł:

— Idź odpocząć, Kudiejarze. Wielką drogę przebyłeś i dziś już się natrudziłeś. Jutro będziesz miał znowu robotę. Idź, Bóg z tobą.

Po odejściu Kudiejara car zawołał pastora niemieckiego Eberharda. Pastor ten, jeden z wziętych w niewolę Inflantczyków, nauczył się dobrze po rossyjsku, był raz przywołany do cara i tak mu się podobał, że nieraz zapraszał go do siebie wieczorem, pozwalał mu chwalić śmiało protestantyzm augsburski, wydawać sądy według luterańskiej filozofii kościelnej o mnichach i klasztorach, nawet umiarkowanie dotykać spraw oddawania czci obrazom, postów itp. Car prawosławny „wolnodumstwował“ z Niemcem, co się tak jaskrawo odbijało od mniszego sposobu życia zaprowadzonego na dworze słobodzkim. Car był w tej chwili niezadowolony z metropolity Filipa i chciało mu się, żeby kościół nietylko mu się nie opierał, lecz nawet uznawał to wszystko za dobre i słuszne, co mu się uczynić podoba. Chytry Niemiec przedstawiał luteranizm jako taką religię, w której car może być absolutnym, nieomylnym panem kościoła, gdzie nie ma ani metropolitów, ani archijerejów, postawionych na swem stanowisku przez Chrystusa, a są tylko tacy słudzy ołtarza, którzy nie mają za sobą innego dostojeństwa jak to, które im dała świecka władza.

Tego wieczora zdawało się Eberhardowi, iż się przybliżył do swego celu; do takiego stopnia car uznawał wyższość Niemców nad Rossyanami, tak łaskawie obiecał opiekę i bezpieczeństwo w swem państwie, jak gdyby dla plemienia niemieckiego miała nastąpić w ziemi moskiewskiej nowa, szczęśliwa epoka.

Na drugi dzień rano, dwaj oprycznicy powiedzieli Kudiejarowi, iż powinien jechać z nimi do Pierejasławla; Kudiejar pojechał konno z dwoma tylko opryczników. Na polu nasunęła mu się myśl, iż uciec może z przeklętego piekła moskiewskiego, lecz odpędził ją od siebie przypomniawszy sobie, że Naścia w rękach dręczyciela.

Kudiejara przywieziono do Pierejasławla i pomieszczono w pałacu namiestniczym. Tegoż dnia wieczorem przyjechał w karecie car z Mamstriukiem, Wiaziemskim i młodym Basmanowym. Towarzyszył mu konny oddział opryczników. Car zamieszkał w osobnym pałacu, umyślnie na jego przyjazd zbudowanym niedaleko od pałacu namiestniczego.

Na drugi dzień car wysłuchał mszę w Soborze Pierejasławskim, a potem stanął z ulubieńcami w podwórzu pałacowem i kazał zawołać Kudiejara. Gdy się ukazał, car nic nie rzekł do niego, lecz wydał tylko taki rozkaz:

— Tam, w tej baszcie siedzi szesnastu niemieckich niewolników. Każcie zdjąć z nich łańcuchy i tu przyprowadzić, a wy, — dodał car, — zwracając się do mieszczan, zamknijcie wszystkie wrota miejskie.

Za kilka minut wyprowadził Mamstriuk z baszty szesnastu ludzi, bladych, znużonych, ledwie nogi wlekących od bolu sprowadzonego uciskiem kajdanów.

— Niemcy, — rzekł car, — ja was ułaskawiam, daję wam swobodę i puszczam do domu. Czy rozumiecie, Niemcy?

Z Niemców tylko jeden umiał trochę po rossyjsku, więc przetłumaczył słowa cara na język swych rodaków. Wszyscy podnieśli ręce do góry i krzyknęli: Hoch lebe!

Car wskazując ręką na wrota dał znak iż wyjść mogą. Niemcy pokłonili się do ziemi i odwrócili się, ażeby odejść. Wtedy krzyknął car: „Kudiejarze, — bij tych niewiernych!„

Kudiejar rzucił się na Niemców i dwóch z nich zabił uderzeniami kułaka. Inni nie rozumiejąc o co chodzi, zaczęli uciekać tak szybko, jak im na to pozwalały bolące nogi. Kudiejar dopędził ich i jeszcze dwóch upadło na ziemię. Pozostałych dwunastu rzuciło się na Kudiejara, lecz Kudiejar chwycił jednego z nich za nogi, i zaczął nim jak maczugą bić Niemców, dwóch upadło wnet na ziemię, a potem rzuciwszy już nieżywego Niemca, którego w rękach trzymał, chwycił drugiego i machnąwszy nim jak pierwszym, zabił dwóch jeszcze. Pozostałych sześciu zaczęło uciekać do wrót, lecz znalazło je zamkniętemi, więc pobiegli wzdłuż murów szukać wyjścia. Kudiejar zabiegł im drogę, uderzył jednego, drugiego w skroń..... Czterech ostatnich już mu się nie broniło; rzucili się na kolana i prosili litości, wołając: „Jesus“. Kudiejar zabił ich swym potężnym kułakiem. Szesnaście trupów leżało na ziemi, jako trofea jego siły i uległości dla carskich rozkazów. Kudiejar wrócił do cara i milcząc, z niepokrytą głową, stał u ganka carskich pokojów.

— Zuch, — rzekł car, — i kazał dać Kudiejarowi dzban miodu, a trupy Niemców powrzucać do jeziora. Zaraz potem car jadł obiad z ulubieńcami a dla Kudiejara przyniesiono jedzenie ze stołu carskiego. Po obiedzie car wyjechał i kazał jechać za sobą Kudiejarowi, nie na koniu tatarskim lecz siedząc na byku.

— Boże! — dumał Kudiejar, jadąc na byku, — jakąż Bóg na mnie zesłał biedę! — Zabiłem tylu ludzi niewinnych, a teraz jakiż wstyd cierpieć muszę! Wszystko to za ciebie, droga Naścio, wszystko dla tego, by cię zobaczyć. I zaczął pocieszać siebie w myśli: oto już przeszedł dwie próby, będzie jeszcze trzecia, a skoro tej dokona, car będzie zadowolony i da mu Naścię, a on ją przebierze i ucieknie z nią razem do Ukrainy. O jakież to będzie szczęście, gdy się wyrwie z przeklętej moskiewszczyzny! Jak będzie przyjemnem życie z Naścią, w jej ojczystym futorze! Dosyć już wojował w swem życiu, byłby już czas zostać gospodarzem; zresztą z kim teraz wojować? Na Tatarów nie będzie już napadał, póki tam panuje jego przyjaciel i dobroczyńca. Chyba że sami napadną, wtedy co innego! Chyba pójdą na Moskwę, wtedy postawi na swem miejscu najemnika; na całe życie wystarczy mu tego, co chan darował, a jeżli mu się na Ukrainie szczęścić nie będzie, to pojedzie do swego przyjaciela Dewleta, przecież mu przyrzekł dać w Krymie kawał ziemi.

Tak marzył Kudiejar o szczęściu przyszłem, starając się zdławić uczucie moralnego poniżenia i przyjechał do Aleksandrowskiej słobody nie w postaci dworzanina, lecz błazna. Może to już i trzecia moja próba, — pomyślał Kudiejar i przychodziła mu do głowy nadzieja, że car zawoła go i powie: „Kudiejarze, tyś przeszedł trzecią próbę, przeniosłeś wstyd ulegając mej woli, weź twoję Naścię.“

Lecz dnia tego nie zawołano Kudiejara do cara.

Na drugi dzień ranne modlitwy — i Kudiejar słuchał cara czytającego sześć psalmów i nauki katechizmowe. Przyszedł czas mszy. Kudiejar zauważył, że car na samym początku zawołał Malutę, mówił z nim patrząc na Kudiejara urągającym wzrokiem i ze złośliwym uśmiechem. Potem Maluta odszedł rzuciwszy złowrogo okiem na Kudiejara.

Po mszy wszyscy według zwyczaju siedli do obiadu. Kudiejar siadł także. Car wziął żywoty świętych, aby przeczytać życie wybrańca pańskiego, którego cześć tego dnia w kalendarzu obchodzono, i raptem, zamiast czytania spojrzawszy na Kudiejara, rzekł:

— Kudiejarze, nadchodzi teraz twoja trzecia ostatnia próba. Jeśli ją przejdziesz, będziesz u mnie najlepszym sługą, najpierwszym z ludzi. Wiedz o tem. Ty dziś nie będziesz u mnie jadł obiadu, — nie tutaj, — zaprowadzą cię do innego miejsca.

Kudiejar wstał, wstał Maluta i czterech opryczników, poprowadzili oni Kudiejara do jednej z izb przybudowanych do pałacu carskiego.

Tam w komnacie, na stole pokrytym czerwonem nakryciem, stała ołowiana misa z zupą; obok niej leżał kawał chleba, a nad stołem, na kruku wbitym do sufitu wisiał trup kobiecy.

Kudiejar spojrzał na zwłoki powieszonej i poznał swoją Naścię.

Nie ma w ludzkim języku słów na opisanie tego, co uczuł w tej chwili Kudiejar.

— Siadaj i jedz obiad, — rzekł mu Maluta.

W głowie Kudiejara zabłysła myśl taka: aby zemścić się na zabójcy Naści, trzeba być dopuszczonym do niego, a dopuszczonym być może tylko wypełniwszy jego rozkazy. Kudiejar siadł do stołu, wziął łyżkę i podniósł ją do ust, zaczepiając ręką o chłodną nogę swej Naści. Nie mógł przełknąć tej zupy i ciekła mu ona po brodzie.

— Patrzcie, patrzcie, — mówili oprycznicy, oto jest, co powiadają: po brodzie ciekło a wgębie sucho było.

Z trudnością przezwyciężał siebie Kudiejar. Położył łyżkę i rzekł:

— Donieście wielkiemu carowi, żem przeszedł przez trzecią próbę.

— Mało jadłeś, — jeszcze trochę, — rzekł Maluta, będziesz głodny. Zjedz kawałek mięsa!

Kudiejar zaczął wydobywać z miski kawałek mięsa i znowu zaczepił nogę nieboszczki, a noga rozkołysawszy się z ciałem uderzyła go w usta.

— Cha, cha, cha! pocałował żonę, — rzekł Maluta.

— Uważaj, żebyś żony nie zjadł zamiast mięsa, — rzekł jeden z opryczników.

— Wypij, Kudiejarze, winka, — rzekł Maluta, — wypij za zdrowie cara.

Kudiejar słuchając rozkazu nalał wina i wypił.

— No, kiedyżeś się najadł i napił, pójdziemy, doniesiemy carowi gosudarowi, i weźmiesz sobie nareszcie twą żonę.

Wyszli. Maluta poszedł opowiedzieć carowi. Kudiejar stał z opryczmikami na dworze. W oczach jego ani jednej łzy nie było widać. Milcząc obojętnie, patrzał w przestrzeń.

Po kilku minutach wrócił Maluta i rzekł: „Kudiejarze, ciebie woła car gosudar, idź śmiało; car będzie dla ciebie niewypowiedzianie miłościwym.“

Kudiejara wprowadzili do pałacu, wiedli przez carskie komnaty obite safianem o złocistych wzorach, i zaprowadzili do pokoju narożnego. Car stał u okna, oparty na swym ostrym kiju, naprzeciw niego u drzwi, przez które miał wejść Kudiejar, stali Wiaziemski, Basmanów i Wasil brudny.

— No, Kudiejaruszka,— rzekł car łaskawie, — tyś dokonał twego trzeciego zadania....

— Dokonam i czwartego, — przerwał Kudiejar, — i ścisnąwszy kułaki rzucił się na cara; lecz pod jego nogami rozwarła się podłoga i upadł do piwnicy na półtora sążnia głębokiej.

— Cha, cha, cha! — krzyknął car, — zapomniałeś psie, a może i nie wiedziałeś głupi chłopie, że Bóg wszędzie ochrania pomazańca swojego. ,,Aniołom swoim każe cię pilnować, by noga twoja o kamień się nie potknęła.“

Gdy Kudiejar rzucił się na cara, Wiaziemski i Basmanów targnęli za deskę przykrywającą piwnicę. Wszystko było wprzód ułożone. Oczekiwano tego co nastąpiło.

— Zamknijcie go, niech ginie tam głodową śmiercią, — rzekł car i wyszedł z komnaty.

Koniec.

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.

przez

Dra Bolesława Limanowskiego.

(*Dokończenie.*)

Spór, jaki wszczął się pomiędzy koloniami amerykańskiemi i ich metropolią angielską z powodu nałożonego przez tę ostatnią podatku, dotyczył właściwie zasady, ażali parlament angielski ma jakie prawo stanowić cokolwiek o tych prowincyach, przedstawicieli których nie posiada w swem gronie. Koloniści uważali się za wolnych ludzi, a jako tacy za panów własnego mienia. Prawo do wolności i samorządu mniej opierali na angielskich ustawach, ile na ogólno ludzkiem, przyrodzonem prawie. Byli więc przedstawicielami nowej, rewolucyjnej zasady. Uwydatnili ją energicznie w swoich pismach i przemówieniach: Otis, Patryk Henry, Dickinson, a w późniejszym czasie Tomasz Paine. W książce drukowanej w Bostonie, p. t. „Prawa kolonii angielskich“, Otis widzi najwyższe źródło prawa w samym narodzie; postępując wbrew woli ostatniego, rząd traci istotne swoje znaczenie. „Królewskość i kapłaństwo—podług autora — wymyślono tylko w celu oszukiwania pospólstwa, i należy dla szczęścia ludzkości rozerwać na zawsze to starożytne i wielowładne przymierze.“ Podatek nałożony na kolonie bez ich przyzwolenia — powiadał Henry — jest aktem tyrańskim; król angielski, dając sankcyą tej ustawie, przyjął na siebie rolę tyrana.“ „Cezar miał swego Brutusa, Karol I swego Kromwella; a Jerzy III („Zdrada!“ zawołał prezydent. „Zdrada! zdrada!“ krzyknęło zgromadzenie), Jerzy III — ciągnął mowca głosem spokojnym — dobrze uczyni, przypominając sobie ich los.“ Wielkie wrażenie wywarły w Ameryce, w Anglii a nawet po części i we Francyi: „Listy właściciela pensylwańskiego do mieszkańców Ameryki północnej“, pisane przez Dickinsona. „Jeżeli wielka Brytania — powiada autor — będzie mogła nakazać, abyśmy brali u niej rzeczy niezbędnie nam potrzebne, i jeżeli równocześnie będzie mogła nakładać na nas podatki, jakie uzna za właściwe, wówczas zejdziemy do stanu nędznych niewolników, jakich widzimy w Polsce i gdzieindziej, z łyczanemi chodakami na nogach i kudłami włosów nigdy nieczesanemi.“ Nie można być szczęśliwym, nie będąc wolnym; nie można być wolnym, nie będąc pewnym swego mienia; nie można być pewnym swego mienia, jeżeli inni mają prawo nam je odbierać bez naszego przyzwolenia. Armia urzędników jest również niebezpieczną, jak i armia żołnierzy. Można ujarzmić naród zarówno podstępem jak i siłą. Tomasz Paine w broszurze p. t. „Zdrowy rozsądek“ rozróżnia społeczeństwo od rządu; pierwsze jest wynikiem naszych potrzeb, drugi naszej złości, pierwsze jest matką, drugi katem. Najlepszy rząd jest tylko złem koniecznem. A cóż mówić o władzy królewskiej, która dla Paina jest tem, czem władza papieska dla protestantów?! W rządach absolutnych król jest prawem; w krajach zaś wolnych *prawo powinno być królem*, i innego władzcy nie trzeba.

Potrzeba porozumienia się kolonii w celu wspólnej obrony spowodowała pierwszy ogólny kongres, który się zebrał w Filadelfii w 1774 r. Przybyło przeszło 50 deputowanych, a pomiędzy nimi byli: Waszyngton, Patryk Henry, Dickinson, Samuel Adams, nazywany przez Anglików wielkim podżegaczem i promotor demokratycznego ruchu w Massachusetts, John Ruttledge, Henryk Lee i wielu innych dzielnych mężów. Opierając się na nowożytnych zasadach Locke'go, które były bardzo upowszechnione w Ameryce, gdzie on nawet był zakonodawcą Karoliny, ułożyli oni kilka świetnych dokumentów, które wywarły w swoim czasie wielkie wrażenie, a pomiędzy niemi „Deklaracyą praw“; ta ostatnia stała się osnową Aktu niepodległości i podstawą „Deklaracyi praw“; ogłoszonej na początku rewolucyi francuskiej. Akt niepodległości, ułożony przez Tomasza Jeffersona, ogłoszono na kongresie 1776 r. W obszernym tym dokumencie, zredagowanym wzorowo, zwłaszcza jeden ustęp znalazł silny odgłos w centrach cywilizacyi europejskiej. „Uważamy — oświadczali przedstawiciele ludu amerykańskiego — za niezbite i oczywiste same przez się następujące prawdy: wszyscy ludzie są równymi; Stwórca obdarzył ich pewnemi nienaruszalnemi prawami, pomiędzy niemi należy umieścić w pierwszym rzędzie: życie, wolność i ubieganie się za szczęściem. Pragnąc bezpiecznie korzystać z tych praw, ludzie utworzyli z pomiędzy siebie rządy, prawdziwa władza których wypływa z przyzwolenia rządzonych. Jeżeli forma jakiegokolwiekbądź rządu burzy owe cele, dla których ustanowioną została, wolno narodowi zmienić ją lub obalić i ustanowić nowy rząd, opierając podstawy jego na rzetelnych zasadach i organizując władzę jego w tej formie, która wyda się mu najwłaściwszą do zapewnienia bezpieczeństwa i szczęścia.

Bohaterska walka Amerykanów porywała europejską ludność do czynu. „Cała Europa jest po naszej stronie — pisał w 1777 r. Franklin z Paryża do swego przyjaciela, doktora Coopera — przynajmniej wszystkie pochwały i życzenia są ku nam zwrócone. Ci, co znajdują się pod władzą arbitralną, niemniej miłują wolność i szczerze jej życzą powodzenia. Tracą oni nadzieję, aby mogli wywalczyć ją w Europie, z zapałem wczytują się w konstytucye naszych kolonii, które odzyskały swobodę. Mnóstwo ludzi oświadcza, że z rodzinami i mieniem przeniosą się do Ameryki, skoro tylko zostanie zawartym pokój i ustalona nasza niepodległość; budzi to powszechne przekonanie, że emigracya europejska przyniesie nam nadzwyczajny przyrost siły, bogactwa i przemysłu. Mniemają także, że dla zmniejszenia lub zapobieżenia tej emigracyi, tyranie europejskie będą musiały złagodnieć i przyznać więcej wolności swoim narodom. Powszechnie tu mówią, że nasza sprawa jest *sprawą rodzaju ludzkiego*, i że walczymy za wolność Europy, walcząc za swoję.“

Z całej Europy biegli na pomoc Amerykanom ludzie szlachetniejszych usposobień; a pomiędzy nimi i my szczycimy się dwoma znakomitemi nazwiskami, Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Największą jednak i najszczerszą pomoc walczącemu o swe prawa narodowi niosła Francya. „Co się zaś tyczy wpływu, jaki to zetknięcie się z rewolucyą amerykańską wywarło na Francyą, dość jest pomyśleć o tem tylko, że właśnie ci z pomiędzy szlachty francuskiej, którzy brali udział w wojnie amerykańskiej jak Lafayette, Rochambeau, Charles Lameth, Custine, wicehrabia Noailles i inni, stanowili w r. 1789 rdzeń opozycyi, walczącej o prawa konsty-

*

tucyjne we Francyi.“ *) Walka amerykańska i w naszym narodzie wzniecała gorętsze uczucie patryotyzmu. Maluje to dobrze Kajetan Węgierski w liście swoim do Dickinsona: „Nie spuszczając nigdy ojczyzny mojej z widoku — pisze ten poeta w czasie swojej podróży po Ameryce — pragnę uczyć się zawsze i wszędy, nie tyle dla własnej przyjemności, ile abym potrafił kiedyś wywiązać się godnie z obowiązków obywatela... Gdy pomyślę jak z trzymilionową ludnością, bez grosza w skarbie, zrzuciliście jarzmo takiej potęgi jak angielska; a jak znowu Polska dała sobie porwać pięć milionów dusz i ogromny kawał ziemi — wyznaję, że od rozumu odchodzę i nie wiem, czemu przypisać tak przeciwne sobie skutki. Aleź, niech to między nami zostanie. Starożytni Sarmaci dzisiaj są tylko — Polakami“ **).

Wolność i niepodległość zostały wywalczone przez Amerykanów, atoli nie wszystkich one zadowoliły w jednakowej mierze. Najbardziej demokratyczna prowincya Massachusetts, która najgoręcej brała do serca sprawę wyzwolenia się z pod uciążliwej angielskiej opieki, która w bojach najwięcej poniosła ofiar, uczuła się pokrzywdzoną. Prawie 75 milionów długu spadło na niespełna 375 tysięczną ludność tego małego kraju — tymczasem źródła dochodowe były tam zupełnie wyczerpane. Dotkliwy ten ciężar powiększało jeszcze nielitościwe zachowywanie się bogatych ludzi względem licznego tłumu swoich dłużników. „Konwencye, które stosownie do zwyczaju tytułowały się narodem, protestowały przeciwko surowości praw, pisanych — jak mówiono — przez bogaczy i dla bogaczy. Zapytywano nawet, czy prawo agrarne nie byłoby słusznem, ponieważ zaprawdę — powiadano — jeżeli nasi wierzyciele posiadają bogactwa, to komuż są tem obowiązani? Nam, naszemu męstwu. Jeżelibyśmy się nie bili, Anglia skonfiskowałaby była wszystko. Grunta i pieniądze, które bez naszej pomocy byłyby stracone, należą do nas tyleż, co i do dzisiejszych ich posiadaczy.“ ***) Wzburzenie to umysłów ludu doprowadziło wreszcie w 1786 r. do rokoszu, któremu towarzyszyły hasła: „Precz z długami, podatkami, papierowemi pieniędzmi. Podział równy dóbr pomiędzy wszystkich!“ Ruch ten, o którym jednak ze współczuciem pisał ówczesny amerykański ambasador, Tomasz Jefferson, słynny ze swojej sprawiedliwości i przyjaciel naszego Kościuszki, został szybko poskromiony.

Niektórzy historycy, jak np. Cornelis de Witt, upatrują w tym ruchu wybuch socyalistyczny. Tak jednak nie jest. Był to prosty objaw niezadowolenia pokrzywdzonego ludu, któremu wprawdzie roiła się w głowie niejasno możliwość lepszego uporządkowania stosunków społecznych, ale żadnej organicznej przewodniej myśli w całem postępowaniu rokoszan nie było. Świadoma socyalistyczna dążność przejawia się w czynie po raz pierwszy na ziemi francuskiej pod koniec słynnej pierwszej rewolucyi.

Koniec.

---

*) Str. 425 i 426. T. XVIII. Szlossera — Dzieje Powszechne. Lwów, 1877.

**) Ustęp ten z listu Węgierskiego przytacza Lucyan „Siemieński w Portretach literackich“ (T. I.)

***) Str. 177 Histoire des Etats-Unis par Edouard Laboulaye. Troisième epoque. Paris, 1866.

O LOTERYI LICZBOWEJ

na podstawie rachunku prawdopodobieństwa

napisał

ANTONI FOGT.

(*Dokończenie*).

Widzimy więc, że trudnem już jest wygranie na tak małej loteryi, jakaż trudność musi być w wygraniu na loteryi rządowej, złożonej z 90ciu numerów, tworzących 4005 amb, 117480 tern, 2,555.190 kwatern i 43,949.268 kwintern. Obliczanie prawdopodobieństwa wygrania na loteryi rządowej odbywa się tak samo jak w naszej małej loteryi, złożonej z dziesięciu liczb. Czytelnicy, którym to nie przyjdzie z trudnością, niech je sobie dla sprawdzenia obliczą sami, my zaś podamy tu tylko gotowe wypadki, i tak:

1) Jeden numer postawiony pojedynczo z oznaczeniem miejsca wyjścia, czyli tak zwane nominato, ma za prawdopodobieństwo — $\frac{1}{90}$.

2) Jeden numer nie nominato — $\frac{5}{90}$ czyli $\frac{1}{18}$.

3) Ambo przy postawieniu dwóch numerów, czyli tak zwane ambo solo ma — $\frac{10}{4005}$ czyli blizko $\frac{1}{401}$.

4) Ambo z trzech liczb — $\frac{43}{5874}$, czyli prawie $\frac{1}{137}$.

5) Ambo z czterech liczb — $\frac{2437}{170346}$, czyli prawie $\frac{1}{70}$.

6) Ambo z pięciu liczb — $\frac{288221}{7324878}$, czyli prawie $\frac{1}{26}$.

7) Terno przy postawieniu trzech liczb — $\frac{1}{11748}$.

8) Terno z czterech liczb — $\frac{19}{56782}$, czyli prawie $\frac{1}{2989}$.

9) Terno z pięciu liczb — $\frac{6021}{7324878}$, czyli prawie $\frac{1}{1217}$.

10) Kwaterno przy postawieniu czterech liczb — $\frac{1}{511038}$.

11) Kwaterno z pięciu liczb — $\frac{71}{7324878}$, czyli prawie $\frac{1}{103168}$.

12) Kwinterno — $\frac{1}{43949268}$.

Za jednym rzutem oka na powyższe ułamki poznajemy, jak wielką trudność przedstawia loterya rządowa w wygraniu. Np. terno przy postawieniu trzech liczb ma za prawdopodobieństwo sprzyjające $\frac{1}{11748}$, więc prawdopodobieństwo przeciwne wynosi $\frac{11747}{11748}$, zkąd poznajemy, że 11747 razy łatwiejszem jest przegranie jak wygranie. Widzimy wprawdzie, że prawdopodobieństwo wygrania powiększa się z liczbą postawionych numerów, jak np. dla terna solo jest ono $\frac{1}{11748}$, zaś z pięciu numerów $\frac{1}{1217}$, ale jak każdy z czytelników wie, nie przedstawia to w praktyce żadnej korzyści. Zkąd to pochodzi, niedługo się dowiemy.

Jak przy poprzedniej małej loteryi, tak i tu z otrzymanych prawdopodobieństw można wyczytać liczby ciągnień, czyli peryody, w których już wszystkie powinnyby wychodzić czy to pojedyncze numera, czy kombinacye, gdyby się nie powtarzały. I tak: jeden numer nie nominato powinien wyjść najpóźniej w 18 ciągnieniu od ostatniego wyjścia. Terno (przy postawieniu trzech liczb) najpóźniej w 11748 ciągnieniu, tj. w 452 lata po ostatniem wyjściu, itp. Lecz te przeciągi czasu choć są i tak niezmiernie długie, w rzeczywistości znacznie się przedłużają wskutek powtarzania się niektórych numerów lub kombinacyj. Jakoż obliczono, że peryod wyjścia wszystkich pojedyńczych numerów zamiast 18 ciągnień wynosi ich przeszło 200 czyli blisko 4 lata. Co znaczy, że gdyby kto stawiał ciągle ten sam numer, mógłby się dopiero w czwartym roku doczekać jego wyjścia. Ambo solo ma najbliższy termin wyjścia 401sze ciągnienie, czyli blisko 16ty rok, w rzeczywistości zaś może się pokazać dopiero około 4400 ciągnienia, czyli w 176 lat po ostatniem wyjściu.

Terno (przy stawianiu trzech liczb) zamiast najpóźniej w 452 roku, może się pojawić powtórnie dopiero w 5000 lat, itp.

Dotąd zajmowaliśmy się loteryą tylko pod względem trudności w wygraniu, teraz z kolei zastanowimy się nad nią pod względem korzyści dla stron grających.

Często lubi ktoś stawiać ciągle albo ten sam numer, albo ambo lub terno, na tę samę stawkę, lub powiększając każdą następną w rozmaity sposób, spodziewając się, że przecież kiedyś doczeka się wygranej. Więc zastanówmy się jaką korzyść przedstawia ten sposób grania. Za jeden numer nie nominato, jak wiadomo, wynagradzają stawkę 14 razy. Gdyby więc kto stawiał ciągle np. 10 centów, za czternastem ciągnieniem wszystkie stawki wynosiłyby 140 centów, a w razie wygrania otrzymałby grający także 140 centów, więc już za czternastem ciągnieniem nie miałby żadnej korzyści. Powiększając każdą następną stawkę np. o jeden cent, 21sza stawka wynosiłaby 30 centów, za które otrzymałby grający 420 centów, wszystkie zaś stawki od 1ej do 21ej wynosiłyby także 420 centów, więc w tym razie już za 21em ciągnieniem nicby także nie zyskał. Gdyby zaś grający powiększał każdą następną stawkę o pierwszą, tj. np. gdyby pierwszy raz postawił 10 centów, a potem stawiał 20, 30, 40 itp., to 27ma stawka wynosiłaby 270 centów, za którą otrzymałby 37 złr. 80 ct., a wszystkie stawki od 1ej do 27ej wynosiłyby także 37 złr. 80 ct., więc już za 27em ciągnieniem nie miałby grający żadnej korzyści. Słowem, przy każdym sposobie stawiania przychodzi chwila, w której już nic w razie wygrania się nie zyskuje, a następnie tylko się traci.

Podobnie rzecz się ma przy graniu na ambo i terno, z tą tylko różnicą, że chwila, w której się nic nie zyskuje przychodzi znacznie później, zawsze jednak wcześniej od najbliższego terminu powtórnego pojawienia się amba lub terna. Np. dla amba najbliższy termin wyjścia jest 401sze ciągnienie, przegrywa zaś grający bezwzględnie przy stawianiu stawki już tej samej od 240go ciągnienia.

Przypuśćmy, że ktoś zaczyna grać w 20ym roku życia i gra do 60go tj. przez 40 lat, to gdyby stawiał każdego ciągnienia tylko 10 centów, przegrałby przez ten czas 104 złr. Lecz w istocie przegrywa daleko więcej. Bo gdyby zamiast stawiać na loteryę po 10 centów, składał je i co pół roku wnosił do kasy oszczędności po 130 centów, miałby po czterdziestu latach 417 złr. własnego pewnego grosza. Więc tyle się przegrywa, stawiając tylko po 10 centów; ileż to muszą przegrywać ci, co stawiają po reńskiemu, po dwa i więcej. Czyż nie lepiej byłoby drogą oszczędności przygotowywać sobie kapitał na stare lata, jak bawić się w ułudną nadzieję wcześniejszego szczęścia.

Gry, w których prawdopodobieństwo dla obu stron grających wynosi $\frac{1}{2}$, tj. kiedy obie strony mają jednakową szansę wygrania, nazywają się równemi.

Przeciwnie, gdy jedna strona ma prawdopodobieństwo wygrania mniejsze jak druga, są nierównemi. Aby gra była sprawiedliwą, to

w grze równej obie strony powinny ryzykować jednakowe stawki, zaś w nierównej, jedna strona powinna stawiać tyle razy mniej, ile razy trudniejszem jest dla niej wygranie, czyli stawki powinny być w stosunku sprzyjających prawdopodobieństw dla obu stron. Wtedy w razie wygrania, grający weźmie swoję stawkę tyle razy powtórzoną, ile wynosi jego prawdopodobieństwo odwrócone. Np. gdyby jeden grający miał prawdopodobieństwo wygrania $\frac{1}{5}$, a drugi $\frac{4}{5}$, to gdy pierwszy postawi 10 centów, drugi powinien postawić 40. Wtedy pierwszy w razie wygrania wziąłby 50 centów czyli $\frac{5}{1}$ razy po 10, drugi zaś miałby swoją stawkę 40, tylko $\frac{5}{4}$ razy powtórzoną.

Więc loterya rządowa jest grą nierówną, bo prawdopodobieństwa sprzyjające dla członków publiczności są znacznie mniejsze jak dla rządu; jest także niesprawiedliwą, bo nie wraca stawki w odwrotnym stosunku prawdopodobieństwa. Np. za terno z trzech liczb powinni wracać stawkę 11748 razy powtórzoną, czyli np. za 10 centów powinien grający wygrać 1174 złr. 80 ct., płacą zaś znacznie mniej, bo tylko 4800 razy, tj. np. za 10 centów 480 złr. Za ambo-solo zamiast wynagradzać stawkę $400\frac{1}{2}$ razy, wynagradzają ją tylko 240 razy. Lecz zastanówmy się bliżej, czy rząd może sprawiedliwie wynagradzać stawki. Przypuśćmy, że w pewnem ciągnieniu wszystkie np. terna zostały obstawionemi przez 117.480 osób, czyli pojedynczo, to w takim razie rząd wziąłby od publiczności 11.748 złr. (w przypuszczeniu że stawiano tylko po 10 centów) i tyleżby za 10 tern zapłacił, więc nie miałby żadnej korzyści. Lecz rządko może się tylko zdarzyć, że wszystkie terna zostają obstawionemi. Nie jedno może być obstawionem przez kilka osób, przez co już zostaje pewna liczba tern luźnych, sprzyjających dla rządu. Np. 1) gdyby jedno terno zostało obstawionem przez 20 osób, zostałoby się wtedy 19 luźnych; 2) gdyby jedno zostało obstawionem np. przez *20* osób. inne przez *40*, trzecie przez *60*, to zostałoby się 19 + 39 + 59 czyli 117 luźnych. Mogłoby się więc zdarzyć, że 10 wyciągniętych tern przypada akuratnie na te luźne, to w takim razie nikt z publiczności by nie wygrał i rząd miałby w zysku 11748 złr. Przy takiem więc wynagradzaniu stawki, loterya byłaby wobec „publiczności grą sprawiedliwą. Lecz rząd opłaca koszta administracyi, więc już dla tego samego musi mieć zapewnioną korzyść z loteryi. Gdyby dalej, rząd nie miał zapewnionej większej korzyści, jak na opędzenie kosztów administracyi, to loterya miałaby tylko cel odbierania pieniędzy jednym a dawania drugim. Rząd zaś wcale nie może się interesować, kto z publiczności ma więcej a kto mniej, więc jedynie swój interes musi mieć na celu w loteryi. Aby więc rząd miał zapewniony dochód, musi płacić znacznie mniej za stawkę, jak sprawiedliwość wymaga; a w takim razie loterya niczem innem nie jest jak tylko odmienną formą ściągania z publiczności podatku. Że zaś rząd nikogo nie zmusza do grania w loteryę, przeto od publiczności tylko zależy dać z siebie ściągać te podatki lub nie. Ze strony zaś rządu podatek ten jest najniesprawiedliwszym w świecie, bo inne podatki ściągają się podług zamożności, wiadomą zaś jest rzeczą, że w loteryę gra najwięcej biedna klasa ludzi.

Każda gra choćby była równą i sprawiedliwą, jest jednak zawsze niemoralną i szkodliwą. Niemoralną dla tego, że jednemu odbiera a drugiemu daje; szkodliwą zaś, że niszczy jednego lub pewną liczbę członków społeczeństwa. Ten co przegra majątek, przechodzi z obywatela na proletaryusza, a jeżeli nie jest zdolnym do pracy, staje się żebrakiem, żyjącym kosztem najczęściej tych, którzy się do jego nieszczęścia wcale nie przyczynili.

NAUKA A WOJNA.

Wojny naszych czasów stały się nadzwyczaj zajmującemi dla ludzi, którzy się nauce poświęcają. Miejsce dawnej odwagi, męztwa żołnierza i jego siły muskularnej, zajęły wynalazki, które nauka zabijania ludzi od innych nauk ludzkich pożyczyła. Dziś zwycięża nie pięść odważna, lecz broń lepsza, lepsza komunikacya i lepsze pożywienie. A w tych wszystkich kierunkach robią się olbrzymie postępy; rzućmy tylko okiem na lat kilkanaście wstecz, a przekonamy się niewątpliwie, że postępy tych lat kilkunastu przewyższają postępy całych długich wieków poprzedzających.

Jedni z radością patrzą na te wynalazki w sztuce zabijania i ranienia, w przekonaniu, że im większe one będą i im szybciej nastąpią, tem prędzej wojny ustać będą musiały; inni są wręcz przeciwnego zdania, lecz nie do nas należy rozstrzyganie kwestyj tego rodzaju. Chcemy tu tylko w krótkości dać pogląd ogólny na postępy, które sztuka wojowania nauce zawdzięcza.

Zacznijmy od czasów niedalekich, od wojny krymskiej. Znajdują tu po raz pierwszy zastosowanie telegrafy elektryczne w celach wojennych. Były one jeszcze niedokładne, w kolebce prawie, lecz przekonano się, że usługi przez nie oddawane są nieocenionemi. Można powiedzieć, że od nich zaczyna się era obszernego zastosowania wynalazków w naukach przyrodniczych poczynionych. Zresztą, krymska wojna odbyła się, z wyjątkiem kilku nowowprowadzonych sposobów w strategice i taktyce, bez innych ważniejszych nowości.

W lat kilka potem wybuchła wojna z 1858 roku. Wenecya była wtedy w ręku austryackiem i dla jej obrony założono wzdłuż wybrzeży elektryczne torpedy, napełnione bawełną strzelniczą. Był to pierwszy debiut torpedów i nowych, organicznego pochodzenia, materyj wybuchających. Lecz nie tylko to jedno było interesującem ze względów naukowych. Na wzniesionem miejscu, dominującem nad wybrzeżem ustawiono tak zwaną ciemnię optyczną (Camera obscura) używaną jak wiadomo przez fotografów. Obraz całego wybrzeża odbijał się na białej tablicy i widać było na niej w odbiciu wszystko, co się na wodzie lub przy samem wybrzeżu działo. Torpedy zapuszczano w wodę jednę po drugiej. Na tablicy dokładnie było widać w zmniejszeniu statek, który spełniał tę funkcyą, a oficer oznaczał na niej punktem miejsce, w którem torpeda była zapuszczoną i oznaczał ten punkt odpowiednim numerem. Gdy torpeda była zapuszczoną, łódź opisywała wokoło niej koło oznaczające doniosłość jej wybuchu, a oficer prowadził ołówkiem za obrazem łódki na tablicy i rysował kółko około punktu oznaczającego torpedę. Urządzono w ten sposób cały system obrony brzegów. Obowiązkiem oficera pilnującego było wyglądać statku nieprzyjacielskiego i skoro się takowy ukazał, śledzić go aż do chwili, w której obraz jego na tablicy wsunął się w obręb kółka oznaczającego doniosłość wybuchu. Wtedy pociśnięcie odpowiedniego guzika przesyłało prąd elektryczny do torpedy i sprowadzało katastrofę.

W parę lat potem nastąpiła wojna amerykańska, która już w sposób bardzo wyraźny przybrała charakter wojen obecnie prowadzonych. Torpedy grają tu już wybitną rolę, pojawiają się działa ogromnego kalibru i wielkiej wagi, a na morzu występują opancerzone monitory.

W r. 1866, w którym Austrya poniosła taką straszną porażkę od Prusaków, rzec można, walczyły z sobą broń odtylcowa z dawnym systemem karabinów. Iglicówki wzięły górę i zaczęto wprowadzać je we wszystkich armiach.

Wojna francusko-pruska nie odznaczyła się żadną nową szczególną bronią, z wyjątkiem mitrailleuzy, lecz natomiast na innych polach postępy nauki i przemysłu znalazły wielkie zastosowanie. Dość przypomnieć, jaki wpływ ogromny miały owe mapy francuskiego sztabu generalnego, reprodukowane na rozkaz rządu pruskiego za pomocą fotolitografii i rozdawane tysiącami między żołnierzy pruskich. Ze strony znowu francuskiej na szczególną uwagę zasługuje poczta powietrzna, pośrednicząca między oblężonym Paryżem, a prowincyami. Dzienniki zagraniczne miały stałą korespondencyą z Paryżem *par ballon monté*. Przez cały czas całkowitego obsaczenia Paryża, od września do stycznia wzleciało z tego miasta 64 balonów z pasażerami, posyłkami, listami i gołębiami. Tak zręcznie tę rzecz prowadzono, iż zginęły tylko 3 balony a 5 dostało się w ręce nieprzyjaciela zalewającego wszystkie okolice. Poczta w kierunku do Paryża odbywała się za pomocą gołębi i chociaż nie była tak regularną jak balonami, to jednak przeszło 100.000 depesz otrzymano w centralnem biurze paryskiem. Depesze te były tak krótkie jak telegramy. Robiono z nich mikroskopiczne fotografie na cienkich, przezroczystych błonkach, zwijano w trąbkę i wkładano w piórko, które potem przywiązywano do ogona gołębia. Gdy depesze przybyły na miejsce, powiększano je za pomocą kamery i rozdawano według adresów.

W tym całym szeregu przytoczonych wojen widzimy coraz nowe zastosowania badań naukowych, coraz nowe ulepszenia przechylające szalę to na tę, to na owę stronę. Obecnie tocząca się wojna na Wschodzie, jako stojąca najwyżej w tym szeregu, dała nam i da jeszcze zapewne niejedno krotnie przykłady skuteczności nowych wynalazków. Obie armie rossyjska i turecka starały się przez lata ostatnie nie pozostać w tyle i tak co do urządzeń morskich, jako też i lądowych pierwszorzędne zajmują stanowiska. Dla wojny obecnej najbardziej charakterystycznymi są konni pionierowie i zaczepne torpedy Whiteheada.

Wiadomo jak ważną rolę odegrywali ułani w wojnie francusko-pruskiej. Im może najwięcej zawdzięczają Niemcy dokładną znajomość ruchów nieprzyjacielskich. Lecz nie należy mięszać czynności ułana pruskiego z czynnościami konnego pioniera rossyjskiego. Są kozacy wybrani z pomiędzy najwytrwalszych i najdzielniejszych wojsk, na koniach prawdziwie niezmordowanych. Każdy z nich ma za pasem kilka funtów bawełny strzelniczej, lub dynamitu, któremi może sprawić nieprzyjacielowi niepowetowane szkody. Znane są bowiem siły wybuchu tych materyj i mały ich nabój umieszczony na szynie, niszczy w jednym momencie drogę na kilka stóp w około i tamuje komunikacyą. Mały oddział takich kozaków wpaść może w samo serce

kraju nieprzyjacielskiego i poprzerywać drogi, mosty i telegrafy; w przeciągu jednej minuty kozak może zleść z konia, przyłożyć nabój do podstawy słupa telegraficznego, zapalić lont i być znowuż na koniu. Kilka funtów prasowanej bawełny strzelniczej wystarczy do zawalenia drogi olbrzymiemi drzewami i zrobienia jej do użytku zupełnie nieprzydatną. Nie ma łatwiejszego sposobu do wywracania pni drzewnych.

O torpedach zaczepnych Whiteheada, które oba państwa posiadają i które wynalazca, równie jak Krupp swoje armaty, każdemu płacącemu sprzedaje, mówiliśmy już w jednym z poprzednich artykułów, nie będziemy się więc obecnie wdawali w szczegółowe opisy tego genialnego przyrządu, o którym powiedział niedawno Lord Charles Beresford: iż wszystko prawie potrafi robić z wyjątkiem mówienia. Tego rodzaju torpedy po raz pierwszy będą w bieżącej wojnie zastosowane, lecz dotąd nie ma jeszcze bliższych szczegółów o ich doniosłości.

W każdym razie torpedy już wiele zrobiły, nawet podczas wojny francuskiej i chociaż flota francuska jest znakomita, nie mogła przecież zbliżyć się do żadnego z wybrzeży niemieckich. Na marynarzu torpedy, jak w ogóle wszelka niespodzianka działają ogromnie demoralizująco i dziwić się nie należy bezczynności floty tureckiej.

Na polu mniejszej broni palnej panuje w Europie zupełna zgoda. Wszędzie zastosowano odtylcówki i znajdujemy tylko różne systemy tych nowych karabinów. Inaczej ma się rzecz z większą bronią i systemów dział jest wielka rozmaitość. Nie zgodzono się nawet na zasadę dział odtylcowych i gdy naprzykład Niemcy używają wyłącznie prawie dział nabijanych z tyłu, Anglicy pozostali przy dawnym systemie i chociaż chwilowo rzucili się do fabrykowania dział odtylcowych, to jednak teraz wracają do nabijanych od przodu. W ogóle w Europie spotkać można ze dwanaście rodzajów parków działowych, które się różnią tak co do konstrukcyi, jako też i co do metalu z którego są robione. Austrya ma działa bronzowe, Niemcy stalowe, Ameryka z lanego żelaza, Anglia ze stali oprawionej w żelazo a Francya odwrotnie z żelaza w stal oprawionego. Obie strony wojujące obecnie są za działami nabijanemi od tyłu i w ogóle obecnie tylko Anglia i Włochy reprezentują system dawny, chociaż co się tyczy Włoch, to trzymają się one tej zasady tylko w działach wielkiego kalibru. Co się tyczy dział mniejszych, Italia nie jest jeszcze zdecydowaną, a przyczynia się do tego głównie ta okoliczność, że sąsiedzi jej wszyscy mają działa odtylcowe.

W najbardziej odrębnym i oryginalnym kierunku rozwinęła się artylerya austryacka i nie zważając na inne państwa, w bardzo krótkim czasie zmieniła cały swój park dotychczasowy. Dopiero w r. 1875 zdecydowano się na wprowadzenie dział Uchatiusa do bateryj polowych, a dziś już każdy regiment armii austryackiej jest uzbrojony w tę broń nową. Zadziwiającą jest prędkość, z jaką wykonano tę robotę w wiedeńskim arsenale. W przeciągu 11 miesięcy odlano i wykończono 2000 dział polowych, a obecnie arsenał ten jest zajęty fabrykacyą dział większego kalibru. Z zadziwiającą energią wzięto się do roboty; rząd uznał, iż koniecznie trzeba zaprowadzić nowy system artyleryi, i skoro komisya wyznaczona w tym celu oświadczyła się za działem Uchatiusa, wzięto się natychmiast do olbrzymiego dzieła zreformowania całej artyleryi.

Działa Uchatiusa zrobione są z tak zwanego bronzu stalowego (Stahlbronze). Wiadomo że w najdawniejszych czasach, zaraz po odkryciu prochu brons był ulubionym metalem do wyrobu dział. W fabrykacyi tego rodzaju postąpiono bardzo daleko i mamy przepyszne okazy bronzowych armat z czasów dawniejszych. Zwykły bronz robi się w ten sposób, iż do 90 części miedzi dodaje się 10 części cyny; Uchatius używa tylko ośmioprocentowej mieszaniny. Przy odlewaniu bronzów największą trudnością jest otrzymanie jednostajnego odlewu, tj. takiego, żeby cała masa bronzu była jednostajną i nie zawierała w sobie kawałków niezmieszanej cyny. Dziwną jest rzeczą, że dawniejsze bronzy daleko są doskonalsze pod tym względem od tych, które w naszych czasach otrzymujemy. Może sztuka odlewania zaginęła, a może też mniej daleko dokładamy starania przy robocie, niż nasi przodkowie. W każdym razie faktem jest, iż nowe odlewy, nawet najstaranniejsze, nie były jednostajnymi. Oprócz tego okazała się i inna wada; mianowicie wybuch gazów nadwerężał wewnętrzną ściankę armaty. Obie te wady przyczyniły się do tego, iż w całej prawie Europie zarzucono system dział bronzowych. Otóż generałowi Uchatiusowi udało się wynaleźć sposób usunięcia tych wad i to było przyczyną ponownego ich zaprowadzenia w artyleryi austryackiej.

Bronz stalowy robi się w zarysach ogólnych w sposób następujący, który jest bardzo podobny do sposobu robienia szkła hartowanego, o którem tyle pisano w ostatnich czasach. Mięszanina roztopiona w tyglu wlewa się do zbiornika napełnionego wrzącym olejem. Bronz stygnie raptownie, lecz tylko do temperatury wrzącego oleju. Dalsze oziębianie do temperatury otaczającego powietrza uskutecznia się bardzo powoli i stopniowo. Odlany metal otrzymuje w ten sposób piękną budowę krystaliczną i nie ma wyżej opisanych wad zwykłego bronzu. Czy fosfor gra jakąkolwiek rolę przy fabrykacyi bronzu Uchatiusa, pozostaje to jeszcze tajemnica. Chemicy wprawdzie powiadają, iż przy rozbiorze nie znaleźli śladu tego ciała, lecz bardzo być może, iż on, spełniwszy swą rolę chemiczną, zostaje zupełnie spalonym.

Skoro działo zostało odlane, następuje dalsza manipulacya, polegająca na rozszerzaniu otworu. Wbijają wtedy stalowe kliny, mające kształt stożkowy, do armaty, jedne po drugich, coraz większe, aż póki otwór nie rozszerzy się o 7 do 8 procentów. Wskutek nacisku tych klinów wewnętrzna skorupa działa staje się twardszą a całe działo elastyczniejszem i wytrwalszem na silne parcie gazów wywiązujących się przy wybuchu. Działo jest w ciągłym stanie elastycznego naprężenia i stara się wrócić do swego pierwotnego kształtu. Jestto więc opór działający wprost przeciwnym kierunku, jak parcie gazów wybuchających.

Co do konstrukcyi zewnętrznej działo Uchatiusa jest tak podobnem do działa Kruppa, że ten ostatni uważał za stosowne żądać wynagrodzenia, gdy zaczęto je w Austryi fabrykować na wielką skalę.

Główną zaletą tych nowych dział, jest wielka taniość, gdyż kosztują one zaledwie tylko trzecią część dział stalowych.

Jak już o tem wspominaliśmy, walka pomiędzy działami nabijanemi od przodu, a działami odtylcowemi, nie jest dotychczas rozstrzygniętą. Zwolennicy dział starego systemu powiadają, iż są one mocniejsze, co naturalnie nie ulega wątpliwości, lecz z zupełną słusznością odpowiadają im Niemcy, iż od czasu jak ich odtylcowe nie pękają, są one zupełnie wystarczającemi. Obrońcy starego systemu powiadają, iż konstrukcya dział od przodu nabijanych jest łatwiejszą. To prawda, lecz za to nabijanie jest trudniejszem i przy większych działach trzeba się udawać do skomplikowanych machin do nabijania, gdy tymczasem w odtylcówkach zwykła winda wystarcza.

Widocznem więc jest, że dotychczasowe próby były niewystarczające i że trzeba czekać dalszych wojen, a może nawet i obecna wystarczy do rozstrzygnięcia kwestyi spornej.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XV.

Nelly.

W dwie godziny później, Henryk, który nie prędko odzyskał przytomność i prawie umierające już dziecko, przeniesieni zostali na folwark przez Jakóba Ryan i towarzyszących mu górników.

Stary oberman z podziwieniem wysłuchał opowiadania o zaszłych wypadkach, Madge zaś natychmiast otoczyła macierzyńską swoją opieką biedną istotę uratowaną od śmierci przez jej syna.

W pierwszej chwili zdawało się Henrykowi, że znalazł dziecko w przepaściach ziemi... była to jednak dziewczyna, od lat piętnastu do szesnastu. Wzrok jej błędny i pełen zdziwienia, blada, wychudła wskutek cierpienia twarzyczka, jasne blond włosy i delikatna cera, zdradzająca, że nigdy nie dotknęły jej promienie słońca, drobna wreszcie i szczupła cała postać, czyniły z niej oryginalne i zarazem zachwycające stworzenie. Jakób Ryan nie bez pewnej słuszności nazwał ją dyablikiem podziemnym, gdyż wskutek zapewne wyjątkowych okoliczności, wśród jakich upływało dotąd życie młodej dziewczyny, zdawała się ona z postaci tylko należeć do rodzaju ludzkiego. Powierzchowność jej na wpół dzika, wzrok nie mogący znieść światła lamp elektrycznych, niezmierne zdziwienie objawiające się na widok przedmiotów najpospolitszego użytku, usprawiedliwiały poczęści przypuszczenia o nadprzyrodzonem jej pochodzeniu.

Do dziwnej tej istoty, spoczywającej na łóżku starej Madge i powracającej do życia, jakby budząc się ze snu długotrwałego, przemówiła naprzód poczciwa Szkotka:

— Jak ci na imię, moje dziecię? — zapytała ją.

— Nelly *), — odpowiedziało dziewczę.

— Czy boli cię co, Nelly?—badała ją dalej.

— Jeść mi się chce... Nie jadłam już... od... od...

Z kilku tych słów wyrzeczonych z wielką trudnością widocznem było, że młode dziewczę, nie miało żadnej wprawy w mówieniu. Nelly wyrażała się przytem językiem starowalijskim, znanym powszechnie górnikom i niekiedy używanym przez nich w potocznej mowie.

*) Nelly, Nell, zdrobniałe imię Heleny.

Madge podała jej pospiesznie cokolwiek pożywienia. Dziewczyna jadła z chciwością umierającego z głodu. Od jak dawna pozostawała w studni, nie podobna się było od niej dowiedzieć.

— Ile dni, moje dziecię, byłaś w tej studni? — pytała ją Madge.

Nelly nic nie odpowiadała. Zdawała się nie rozumieć zadanego jej pytania.

— Od ilu dni tam byłaś? — powiedz nam moja droga.

— Dni?... powtórzyła Nelly z wahaniem, jakby wyraz ten po raz pierwszy obił się o jej uszy.

I wstrząsnęła głową, jak człowiek niepojmujący o czem jest mowa.

Szymonowa wzięła ją za rękę i pieszcząc się z nią, dla wzbudzenia w dziewczynie większego zaufania, zapytała czule:

— Powiedz mi, moje dziecię, ile masz lat?

Ten sam znak zaprzeczenia ze strony dziewczęcia.

— No tak, Nelly,... ile lat masz?

— Lat?... powtórzyła Helena.

Wyraz ten, tak samo jak „dzień“ — nie miał dla niej żadnego znaczenia.

Szymon Ford, Henryk, Jakób i trzej górnicy, spoglądali na młode dziewczę z uczuciem ubolewania wywołanem godnem politowania położeniem biednej tej istoty, nędzną zaledwie okrytej spodnicą.

Henryk zwłaszcza, bardziej niż wszyscy inni, czuł niewymowną jakąś sympatyę ku ocalonemu przez siebie dziewczęciu.

Podszedł do łóżka i ująwszy rękę, którą przed chwilą trzymała Madge, spojrzał badawczo w twarz uśmiechającej się ku niemu Heleny.

— Czy tam — rzekł — w podziemiach... byłaś sama... Nelly?

— Sama! sama! — zawołała dziewczyna, zrywając się nagle.

Na twarzy jej malował się wyraz przestrachu. Oczy, które przed chwilą złagodniały były pod spojrzeniem młodego jej wybawcy, przybrały napowrót pierwotną swą dzikość.

— Sama! sama! powtórzyła raz jeszcze; i jakby wyczerpawszy wszystkie swe siły, padła bez czucia na łóżko.

— Biedne dziecię, jeszcze zbyt jest osłabiona, aby mogła nam odpowiadać — zrobiła uwagę Madge. — Zostawmy ją w spokoju, a kilka godzin snu i lekki posiłek, powrócą jej siły. Chodźcie, moi przyjaciele, oddalmy się ztąd.

Na zalecenie Szymonowej, Nelly pozostała samą, a po kilku chwilach przekonano się, że zasnęła głęboko.

Wypadek ten nabrał niebawem wielkiego rozgłosu, nietylko w kopalni, ale także w hrabstwie Stirling i w całej nieomal Szkocyi. I z pewnością, znalezienie w pokładach łupkowych jakiego skamieniałego przedpotopowego dziewczęcia, nie wzbudziłoby tak powszechnego zajęcia, jak prosta historya Nelly.

Przesądni i zabobonni ludzie, a nie brakło ich wcale w okolicy, znaleźli świeży przedmiot do tworzenia cudownych legend, i przekonani byli, że młoda dziewczyna jest nie mniej ni więcej jak genjuszem nowej kopalni Aberfoyle, a gdy Jakób Ryan wspominał swemu przyjacielowi.

— Być może — odpowiedział Henryk — chętnie zgadzam się na to przypuszczenie — z tem wszakże zastrzeżeniem, że jest ona dobrym genjuszem, opiekuńczym duchem kopalni. Ona to nas wspierała, ona dostarczała chleba i wody podczas naszego uwięzienia w kopalni! Nikt inny, tylko ona! Jeżeli zaś kopalnia nasza ma i złego swego ducha, i duch ten przebywa w niej jeszcze, prędzej czy później musimy go wynaleść!

Rozumie się, że inżynier Starr najprzód został o wszystkiem uwiadomiony.

Nazajutrz po przybyciu młodej dziewczyny na folwark, skoro odzyskała już swe siły, inżynier sam podjął się wybadać ją z zachowaniem wszelkiej możliwej ostrożności. Obok dość rozwiniętych zdolności umysłowych, znalazł w niej brak zupełny najpospolitszych pojęć; między innemi nie miała żadnego wyobrażenia o czasie. Widocznem było, że dnie i godziny nie istniały dla niej wcale, same nawet te wyrazy były jej obcemi. Oprócz tego, oczy jej przywykłe do ciemności, nie mogły znieść blasku elektrycznego światła; wśród nocnych za to cieniów, wzrok jej stawał się nadzwyczaj bystrym, a rozszerzona niezmiernie źrenica pozwoliła jej widzieć dobrze w największej ciemności. Stwierdzono również, że oczy jej nie widziały, nie oglądały nic więcej oprócz kopalni, w której przebywała, i że w ponurych tych podziemiach cały świat się jej zamykał. — Czy biedne dziecię miało jakiekolwiek wyobrażenie o słońcu i gwiazdach, o wsiach i miastach, o świecie całym, na którym mieściły się miliony podobnych jej stworzeń — to trudno było odgadnąć. — W każdym razie wypadało zaczekać, dopóki pewne, nieznane jej dotąd wyrazy, nie nabiorą dokładniejszego określenia w rozwijającym się umyśle.

Co do rozwiązania najważniejszej kwestyi: czy Nelly sama jedna przebywała w przepaściach Nowej Aberfoyle, James Starr zmuszony był narazie wyrzec się tej myśli. Na samą wzmiankę bowiem o tym przedmiocie, dziwny przestrach przejmował dziwną tę istotę. Czy Nelly nie mogła, czy nie chciała odpowiedzieć wyraźnie na zadawane jej w tym względzie pytania, pozostało zagadką — to nie ulegało jednak wątpliwości, że istniała jakaś tajemnica, którą ona jedna tylko była w stanie rozwiązać.

— Czy chcesz pozostać z nami — zapytał ją w końcu inżynier — czy też chcesz wrócić tam, gdzie byłaś poprzednio?

Na pierwsze z powyższych zapytań: „O, tak, zostanę!“ — odpowiedziało młodę dziewczę. — Na drugie, wydała tylko okrzyk przestrachu, nie odrzekła jednak ani słowa.

Wobec tak upartego milczenia, James Starr, Szymon Ford i syn jego nie mogli nie doznać pewnej dość zresztą uzasadnionej obawy. Trudno rzeczywiście było zapomnieć o niewyjaśnionych dotąd faktach, jakie towarzyszyły odkryciu nowej kopalni; — jakkolwiek zatem od lat trzech, nie zaszło nic takiego, coby mogło zapowiadać powtórzenie się zamachów na osobiste ich bezpieczeństwo — co chwila przecież oczekiwali nowych ataków ze strony niewidzialnego swego wroga. Dla położonia więc raz końca dręczącej ich niepewności, postanowili zbadać dokładnie podejrzaną studnię. Dobrze uzbrojeni i w licznem towarzystwie dokonali w istocie tego zamiaru, ale bez żadnego skutku. Nie znaleźli w głębinie najmniejszego podejrzanego śladu; przekonali się tylko, że studnia miała komunikacyę z dolnemi piętrami kopalni, wyżłobionemi w pokładach węgla kamiennego.

Wszyscy trzej często rozmawiali pomiędzy sobą o tym przedmiocie. Jeśli jeden lub więcej niegodziwców ukrywało się w nieznanych tajnikach kopalni, jeśli przygotowywali oni jaką zasadzkę, jedna tylko Nelly mogłaby wiedzieć cośkolwiek o tem — ona jednak milczała. Najmniejsza wzmianka o przeszłości takim samym zawsze przejmowała strachem młode dziewczę jak w pierwszej chwili przybycia jej na folwark. — Uznano więc za właściwsze nie nalegać na nią. Z czasem, obiecywano sobie, sama podzieli się z nami, swoją tajemnicą.

Po dwóch tygodniach Nelly stała się najpojętniejszą i najzręczniejszą pomocniczką starej Madge w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Widocznie, ani przez myśl jej nie przeszła możność opuszczenia tego domu, w którym przyjęto ją tak czule, a zresztą wydawało się to jej rzeczą tak naturalną, że nie wyobrażała sobie aby odtąd mogła by żyć gdziekolwiek indziej. Rodzina Ford wystarczała jej zupełnie, a zbytecznem byłoby dodawać, że od chwili gdy Nelly przestąpiła próg ich domu, zacni ci ludzie, uważali ją za własne, przybrane swe dziecko.

Nelly w nowem swem otoczeniu była w istocie czarującą. Wypiękniała, drobne jej kształty zaokrągliły się, rysy wyrównały, z każdego jej ruchu tchnęła swoboda i zadowolenie — i bezwątpienia były to pierwsze szczęśliwe chwile w życiu młodej dziewczyny. Madge obchodziła się z nią jak z własną córką, stary oberman uwielbiał ją, zresztą wszyscy ją pokochali. Jakób Ryan jednego tylko żałował, że to nie on był jej wybawcą Bywał często na folwarku. Śpiewał, a Helenie, która poprzednio nigdy żadnych śpiewów nie słyszała, bardzo się to podobało; widocznem jednak było, że po nad śpiewy Jakóba młoda dziewczyna przekładała poważne rozmowy z Henrykiem, który zwolna obznajmiał ją z nieznanemi jej dotąd objawami życia zewnętrznego.

Od chwili gdy Nelly ukazała się w rzeczywistej swej postaci, Jakób sam wyznać musiał, że wiara jego w istnienie duchów osłabła w wysokim stopniu. Oprócz tego, świeży wypadek nowy cios miał zadać przesądnym jego wyobrażeniem.

Blisko w dwa miesiące po uratowaniu Heleny, Henryk zrobił dość niespodziewane odkrycie, wyjaśniające do pewnego stopnia pojawienie się Dziewic ognia w zwaliskach zamku Dundonald w Irvine.

Pewnego dnia, po dokładnych badaniach odbywanych od dłuższego już czasu w południowej stronie kopalni — Henryk wdzierał się w górę wązkim szybem utworzonym wskutek osunięcia się skał łupkowych. Nagle, z wielkiem swem podziwieniem, ujrzał się na wolnem powietrzu, na powierzchni ziemi. Szyb ten, ciągnący się pod poziomem w kierunku ukośnym, kończył się wśród ruin Dundonaldu; istniała więc podziemna komunikacya pomiędzy wzgórzem unoszącem na sobie stare zamczysko a Nową Aberfoyle — zewnętrzny zaś otwór szybu tak osłoniony był odłamami zwalisk i zarosły zielem, iż nic dziwnego, że przy przeprowadzonem tu śledztwie nie zdołano żadnego odszukać śladu.

W kilka dni później, James Starr, doprowadzony na to miejsce przez Henryka, przekonawszy się naocznie o istnieniu węgla w nowoodkrytym naturalnym szybie, zawołał:

— No, mamy już teraz oczywisty dowód, mogący przekonać wszystkich zabobonnych górników. Bywajcie zdrowe Dziewice ognia, duchy i chochliki wszelkie! Skończyło się już wasze panowanie!

— A mnie by się zdawało, panie inżynierze— odparł Henryk — że wcale nie mamy się czego

cieszyć. Bo z pewnością następcy tych duchów są dla nas nierównie niebezpieczniejsi.

— Może masz i słuszność, Henryku, ale cóż począć! Widoczną jest rzeczą, iż ludzie ukrywający się w kopalniach, wydostawali się tą drogą na ziemię; oni to bezwątpienia, z pochodniami w ręku, podczas ciemnej burzliwej owej nocy, zwabili ku tym brzegom *Motalę*, aby złupić ją i zrabować, co udało im się tylko wskutek wmięszania się w tę sprawę Jakóba i odważnych jego przyjaciół. Tu było schronienie niegodziwców — ale pytanie wielkie, czy zostają w niem dotąd jeszcze?

— Zostają, bo Nelly drży na samo wspomnienie o tem — odpowiedział Henryk z głębokiem przekonaniem. — Zostają, bo Nelly nie chce mówić o nich.

Uwaga Henryka wydała się zupełnie sprawiedliwą. Gdyby bowiem tajemniczy mieszkańcy kopalni, wydalili się już z niej, albo gdyby nie zostawali już przy życiu, jaka przyczyna mogłaby skłaniać Helenę do zachowywania milczenia?

Inżynier postanowił też koniecznie zbadać tę tajemnicę. Przeczuwał on, że od niej zależeć może przyszłość eksploatacyi i bezpieczeństwo całej kopalni. Na nowo zarządzono środki ostrożności. Uprzedzono policyę miejscową. Ajenci ukryli się w zwaliskach Dundonaldu, sam Henryk przez wiele nocy czatował w zaroślach, pokrywających wzgórze. Wszystko napróżno. Nic nie znaleziono. Żadna ludzka istota nie ukazała się w otworze szybu.

Wypływał ztąd oczywisty wniosek, że złoczyńcy musieli się wynieść z Nowej Aberfoyle, co się zaś tyczy Nelly, mogli przypuszczać, że umarła w opuszczonej studni. Podobne przypuszczenia usprawiedliwiała jeszcze i ta okoliczność, że kiedy poprzednio kopalnia była bezpiecznem schronieniem, obecnie, po rozpoczęciu eksploatacyi, zmieniły się stosunki. Ukrywać się w niej przez dłuższy czas stało się prawdziwem niepodobieństwem. Można więc było mieć nadzieję, że z tej strony nie grozi już żadne niebezpieczeństwo na przyszłość; pomimo to James Starr nie czuł się zupełnie spokojnym, a Henryk tem bardziej nie wyrzekł się swych podejrzeń. Powtarzał też często:

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Nelly wtajemniczoną była w to wszystko. Dlaczegożby więc zachowywała tajemnicę, gdyby już nie miała się czego obawiać? Codziennie prawie zapewnia nas, że czuje się szczęśliwą w naszem kółku! kocha nas wszystkich. Matkę moją uwielbia. Skoro zatem milczy o przeszłości i o tem, co mogłoby uspokoić nas na przyszłość, widzę w tym nieomylny znak, że jakaś straszliwa tajemnica, ciężąca jej na sercu, wstrzymuje ją od zwierzeń! Któż wie zresztą, czy biedne dziewczę postępując w ten a nie inny sposób, nie jest przekonaną, że czyni to w interesie naszego dobra.

Wskutek powyższych rozlicznych względów, zgodzono się jednomyślnie, aby w rozmowach prowadzonych w obecności Nelly unikać wszystkiego, co mogłoby przypominać dziewczęciu niedaleką bolesną przeszłość.

Nadeszła jednak chwila, w której Henryk zniewolony był wyjawić Helenie, że rodzice jego, inżynier i on sam, jej przypisują wybawienie swe od nieochybnej śmierci.

Był to dzień świąteczny. Na górze, w hrabstwie Stirling, zarówno jak i w obszernych podziemiach Aberfoyle, wszyscy odpoczywali. Cała ludność używała przechadzki i świeżego powietrza. We dwudziestu co najmniej punktach kopalni rozlegały się wesołe śpiewy i robiono przygotowania do tańców i innych zabaw.

Henryk i Nelly przechadzali się wolnym krokiem nad lewym brzegiem jeziora Malcolm. W tem miejscu promienie elektrycznego światła, mniej silne wskutek łamania się o rozliczne skały i olbrzymie filary podtrzymujące sklepienie, znośniejsze były dla oczów Nelly, nie zupełnie jeszcze przywykłych do zbytecznej jasności.

Po całogodzinnej może przechadzce młoda para zatrzymała się wprost kaplicy św. Idziego, na tarasie utworzonym z natury, a wystającym po nad wody jeziora.

— Oczy twoje, Heleno — rzekł Henryk — nie oswoiły się jeszcze ze światłem i zapewne nie zniosłyby blasku słońca.

— Niezawodnie — odpowiadała Nelly — jeśli tylko światło słoneczne jest tak silne, jak ty mi mówiłeś, Henryku.

— Bądź pewna, Nelly, że słowa moje nawet w przybliżeniu nie mogły ci dać wyobrażenia o cudach przyrody, które tylko własnemi oczy ocenić można. Ale, powiedz mi, czyli to podobna, abyś ty od chwili przyjścia na świat, ani razu nie opuszczała tych podziemi?

— Ani razu, Henryku, i zdaje mi się, że nawet wówczas, gdym dzieckiem jeszcze była, nigdy ani ojciec ani matka nie wynosili mnie na świat podsłoneczny. Bo w takim razie, jestem przekonaną, że musiałabym zachować o tem chociaż najlżejsze przypomnienie.

— Wierzę ci, Nelly — odpowiedział Henryk. — Przed kilkunastu bowiem laty, nie ty jedna znajdowałaś się w podobnem położeniu. Komunikacya kopalni ze światem zewnętrznym, była wówczas bardzo jeszcze utrudnioną, i ja sam znałem nie jednego chłopca i nie jedno dziewczę w twoim wieku, którym tak samo jak i tobie, obce były zupełnie cuda natury. Ale dziś, kiedy koleją żelazną przez wielki tunel można w ciągu kilku minut dostać się na powierzchnię ziemi, radbym jak najprędzej usłyszeć z ust twoich te słowa:

— Oczy moje, Henryku, mogą znieść już blask światła dziennego. Wyprowadź mnie na górę, niechaj ujrzę słońce, niechaj podziwiam najcudowniejsze dzieło Stówrcy!

— Mam nadzieję, że niezadługo usłyszysz te słowa, Henryku — odrzekła. — Pójdę z tobą uwielbiać nieznane mi cuda, a przecież....

— Cóż znaczy to wahanie, Heleno? — zawołał pośpiesznie Henryk. — Miałażbyś żałować owych strasznych przepaści, w których spędziłaś młodociane swe lata, i z których wydobyliśmy cię prawie umierającą?

— Nie, Henryku — odpowiedziała Nelly. — Pomyślałam tylko, że ciemności także są piękne. Gdybyś wiedział to wszystko, co oswojone z niemi oko dopatrzyć w nich umie! Tu okazują się duchy powiewne, za któremi bierze ochota polecieć, tam znów zaczarowane koła, z których wyjść by się nigdy nie chciało... w głębi kopalni istnieją czarne jamy, pełne jakiegoś nieokreślonego światła... a przytem, ze wszystkich stron dochodzą cię tak czule przemawiające rozliczne głosy...! Wierzaj mi, Henryku, trzeba żyć tam gdzie ja żyłam, ażeby odczuć co czuję, a czego wypowiedzieć nie zdołam!

— I nie bałaś się nigdy, gdy zostawałaś samą.

— Tylko wtenczas nie bałam się, kiedy byłam samotną!

Słowa te wymówiła Nelly z pewnem drżeniem głosu. Henryk jednakże, jakby nie zwrócił na to uwagi, zadał jej nowe pytanie:

— I nie lękałaś się zabłądzić w labiryncie galeryi i korytarzy?

— O! pod tym względem byłam zupełnie spokojną. Nową kopalnię znałam doskonale w najdrobniejszych jej zaułkach.

— A po za jej granice nie wydalałaś się nigdy?

— Czasami... bardzo rzadko — mówiła z wahaniem dziewczyna — niekiedy dochodziłam nawet do komory Dochart.

— Znałaś więc stary folwark?

— Folwark... tak jest... ale mieszkańców jego widywałam tylko z bardzo daleka.

— Mieszkańcami tymi byli moi rodzice i ja! Nie mogliśmy się nigdy zdecydować na opuszczenie starego naszego mieszkania!

— I być może, że lepiej byłoby dla was, gdybyście go byli nie opuszczali!... — szepnęło dziewczę.

— A to dlaczego, Nelly? Czyż właśnie ten upór w nieopuszczaniu naszego siedliska, nie doprowadził nas do odkrycia nowych pokładów węgla? Czyż odkrycie to nie sprowadziło jak najlepszych następstw dla nas, dla tysiąca rodzin znajdujących tu zatrudnienie i utrzymanie, dla ciebie wreszcie, Nelly, która przywrócona do życia, znalazłaś w nas tak kochające cię serca!

— O, tak! dla mnie — odparła żywo Heleza — stało się, co mogło być najlepszego! Ale dla innych... Któż to wiedzieć może!...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic... nic!... Ale wówczas bardzo niebezpiecznie było dostać się do nowej kopalni! O! tak, Henryku, bardzo niebezpiecznie! Pewnego dnia, jacyś nierozważni ludzie wdarli się do tych przepaści... Zaszli daleko, bardzo daleko... a potem zabłądzili!...

— Zabłądzili? — zapytał Henryk patrząc jej w oczy.

— Tak jest, zabłądzili — powtórzyła Nelly drżącym głosem. — Lampa im zgasła i nie mogli odszukać drogi.

— A potem, uwięzieni — zawołał Henryk — przez ośm długich dni, bliskimi byli śmierci!... I gdyby nie istota litościwa, zesłana im przez Boga, anioł jakiś zapewne, który niewidzialnie dostarczył im cokolwiek żywności — gdyby nie tajemniczy przewodnik, który później doprowadził aż na samo miejsce ich wybawców, pozostaliby na zawsze w tym grobie!

— A ty zkąd wiesz o tem?

— Wiem, bo ci ludzie... to James Starr... ojciec mój... moja matka... i ja, Heleno!

Nelly schwyciła za rękę młodzieńca, i podniosłszy głowę, tak badawczo nań spojrzała, że Henryk uczuł się do głębi serca wzruszonym.

— Ty! — powtórzyła.

— Ja! — odrzekł młodzieniec po chwili milczenia — a owym aniołem opiekuńczym, który nam życie zachował, nie mógł być kto inny, tylko ty, Nelly!

Dziewczyna opuściła głowę i ukryła ją w drobnych swych rączkach. Henryk nigdy jeszcze nie widział jej tak wzruszoną.

— Ci, którzy cię uratowali — dodał po chwili drżącym głosem — zawdzięczali ci już własne swe życie, i czy sądzisz, że zdołają kiedykolwiek o tem zapomnieć?! (C. d. n.)

Z NIEZNANYCH POEZYI.

ROMANA ZMORSKIEGO.

MODLITWA.

Ojcze, oto z krwawym znojem
Siejem plon na przyszły czas,
Wejrzyj na nas okiem twojem —
O Boże! wysłuchaj nas!

Żadnej siewby nie puść marno —
Każda swój niech wyda kwiat,
Każdy kwiat obfite ziarno!
Prosim za siebie i świat.

Kto, jako gad podły, zdradnie,
W serca braci leje jad,
Na skroń własną niech mu spadnie
Twardy owoc jego zdrad.

Słowa prawdy kto rozsiewa,
By przyspieszyć słońca wschód,
Daj mu dożyć, by do żniwa
Zmartwychwstały powiódł lud.

Ach, niejeden zasiew drogi
Spi zbyt długi w ziemi czas,
Zbudź go, lud cię błaga mnogi —
O Boże, wysłuchaj nas!

Z męczenników tylu kości,
Posianych od tylu lat,
Niech wznijdzie drzewo wolności,
I ocieni cały świat.

Lwów 1858 r.

Piśmiennictwo polskie.

(*Podróż nad Renem i w Szwajcaryi, w 1846 roku odbyta, Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1877.*

Tytuł książki nie bardzo zachęcający. Pozwala on, a raczej nakazuje domyślać się, że to jest opis wrażeń i widoków tyle już razy opisywanych, że utraciły one już wszelką barwę i urok nowości. Jeżeli autorem jest Odyniec, a podróżuje w towarzystwie Mickiewicza, o! to co innego! Wówczas brzegi Renu i góry Szwajcaryi interesują nas jako scena, na której występują te dwie postacie, otoczone aureolą młodości i poezyi, a tak drogie naszemu sercu, a w listach z podróży szukamy nie opisu wspaniałych widoków, ale przedewszystkiem tego, „co On czuł i myślił", gdy patrzał na te widoki, szukamy najdrobniejszych, najzwyczajniejszych przygód, w których mignąć nam może przed oczami Jego postać, i które choć jednym drobnym rysem uzupełnić nam mogą obraz, tyle razy przez wyobraźnię naszą szkicowany, jednem słowem wszędzie, na każdem miejscu szukamy Mickiewicza.

W podróży, o której piszemy, nie ma ani Mickiewicza, ani Odyńca; co gorzej, autor podróży jest anonimem. Cóż nas mogą obchodzić jego wrażenia i przygody, jeżeli one same w sobie nie będą miały czegoś niezwyczajnego, zajmującego?

Nie, w podróży anonima nie ma bynajmniej nadzwyczajnych przygód i wrażeń, a jednak kończymy książkę z żalem. Doznajemy uczucia, jakiego doznaje podróżnik, gdy w drodze poznawszy kogoś i po krótkiej rozmowie pokochawszy, musiał się wnet z nim rozstać, nie mając nawet dość czasu, czy śmiałości, aby zapytać go o nazwisko.

Czytelnik, który będzie szukał w tej książce widoków, przygód i wrażeń z podróży, znajdzie je, ale znajdzie zarazem wiele innych rzeczy, których się wcale nie spodziewał. Książka ta bowiem jest mięszaniną najrozmaitszych rzeczy, które jednak mieszczą się obok siebie tak wygodnie i tak są pouczające i zajmujące, że każą najzupełniej pogodzić się z tą mięszaniną. Ktoby się naprzykład spodziewał znaleść tu małą rozprawkę o pszczelnictwie lub wdzięczną alegoryczną powiastkę o Piotrze Schlemilu, który sprzedał swój cień dyablu, i z tego powodu narażony był na największe cierpienia? A oprócz tego, co rozmaitych obszernych wspomnień historycznych, drobnych anegdot, złotych nauk moralnych i politycznych, w których wszędzie znać człowieka, co dużo kochał i przebolał! Z początku razi trochę i odstręcza obfitość erudycyi historycznej, nie całkiem odpowiednio umieszczonej, a przynajmniej niespodzianie zaskakującej czytelnika, ale kto się nią nie zrazi i nie rzuci książki, ten sowicie potem zostanie nagrodzony.

Jeżeli Sterne nazwał podróż swoją po Francyi *uczuciową*, to nasz anonim miałby jeszcze większe prawo nazwać swoję podróż *dydaktyczną*. Jest to coś w rodzaju Telemaka a zarazem Młodego Anacharsisa. Mentorem jest tu sam anonim, Telemakiem pewien młodzieniec, imieniem Władysław (nazwiska nie znamy), którego autor spotkał na statku, płynąc Renem i z którym odbył potem dalszą podróż po Renie i po górach Szwajcaryi. Mentora pociągnęła ku Telemakowi żywość, bujność, lotność fantazyi młodzieńca, ale wiedząc, jako człowiek dojrzały, jak niebezpieczną przewodniczką jest wybujała wyobraźnia, postanowił skorzystać z kilku tygodni wspólnej podróży z młodzieńcem, aby prostować jej poloty, hamować jej zapędy, karcić jej zachcianki i wybryki. Zapalna, ale dobra natura Władysława poddaje się bez szemrania mentorskim naukom i zakazom anonima, bo widzi, że płyną z głębokiej ku niemu życzliwości i świecą spokojnem światłem mądrej myśli. Bez tego wzajemnego stosunku tych dwóch ludzi, książka anonima nie miałaby racyi bytu, byłaby zbieraniną różnych rzeczy, niczem nie spojonych z sobą; ten stosunek kojarzy rzeczy najsprzeczniejsze, łączy je i ożywia, jest duszą książki.

Podróż odbywa się w r. 1846, świeżo po rzezi galicyjskiej i po nowym upadku wybujałych nadziei narodu. Rozmowa anonima z Władysławem bardzo często zwraca się na pole społeczno-i polityczno-narodowe. Posłuchajmy, co mówi autor o nadziejach narodu; ze słów jego możnaby ułożyć katechizm narodowy i oprawiwszy go w złote ramy zawiesić w każdym domu polskim. Władysław cieszy się nadzieją, że wielki naród francuski kiedyś się obudzi ze swego samolubstwa, i wystąpi w obronie Polski; nie darmo co rok izby francuskie powtarzają: „la nationalité polonaise ne périra pas." Anonim prędko rozprasza to złudzenie i wywołuje rozpaczliwe zapytanie towarzysza: „Cóż więc nam począć? Jeśliby nam i Francya jeszcze ubyła, to już nie ma dla nas nadziei!"

— „Owszem, jest, odpowiada anonim, i daleko większa, niż jeślibyśmy się wciąż oglądali za pomocą Francyi i jak dotąd z każdą wiosną wyczekiwali wojny. Jest pewniejsza, bo w nas samych. Naród tak zubożony, zgnębiony, rozbity, musi się wprzód w sobie odrodzić, wewnątrz niepodległym zostać, zanim wytęży swe siły ku odzyskaniu niepodległości zewnętrznej. Wielkość narodu, trwałość, bezpieczeństwo, nie polega na kształtach zewnętrznych, ale na cnotach, na tradycyi, na niezłomności charakteru i w wierze. Gdybyśmy te postradali, gdybyśmy, jeśli osłabły w niedoli lub skrzywiły się niewolą, nie wzmogli się w nich, nie sprostowali na nowo, to chociażby zbieg przyjaznych wypadków, wojna europejska, druga taka jak napoleońska, przywróciła nam niezawisłość, zostawieni sami sobie upadlibyśmy powtórnie, z większą jak wprzód sromotą"...

....„Trzeba nam szlachcie naprzód w sobie się odrodzić..... Przy oświacie dla ludu o własnej pomyślmy. Opuściliśmy się w naukach. Bawimy się obcą i to najlżejszą literaturą. Poziom umysłowości naszej przerażająco się zniżył. Prąd wieku wiedzie ku naukom ścisłym, praktycznym. My najmniej do nich pociągu czujemy, bo one wymagają więcej mozołu i wytrwałości. Tymczasem praca cicha, nieznużona, tak w zawodzie praktycznym, jak umysłowym, kardynalnem winna być dla nas prawidłem. Stracić w jednej chwili wszystko można, ale odrobić tylko długie lata trudu zdołają. Prawda, że wszyscy u nas do pracy nawołują, lecz mało kto do niej się bierze... Na drogowskazach u nas nie brak, ale drogi puste. W Anglii szyderczo drogowskazami przezywają pastorów, jakoby ci drogę wskazywali, lecz stojąc w miejscu, sami nią nie szli. U nas więcej jeszcze takich mentorów. Nie uważamy jeszcze pracy, jako obowiązek, uświęcenie, ukrzepienie ducha. Choćby skutek jej był niepomyślny, choćby zysku nie przyniosła, samo przezwyciężenie siebie jest już zasługą i rękojmią charakteru, a żywot dobry składa się z ciągłych wysileń i zwycięztw człowieka nad samym sobą. Raz nad brzegami Francyi rozbił się okręt chiński. Wyratowano tylko dwóch chłopców. Aby ich czemś zająć, zapytano, czem byli we własnym kraju i do czego mają ochotę. Chłopcy odpowiedzieli, że się zajmowali ogrodnictwem i że się chcą dalej temu zawodowi poświęcić. Dano im przeto odpowiednie zatrudnienie. Ale gdy się do rydla przyłożyć nie chcieli wciąż igrając po ścieżkach, i gdy ich za to strofowano, nic z nich nie można było wydobyć, tylko odpowiedź, że u nich ogrodnictwem nazywa się przechadzka i zabawa w ogrodzie. Jakże to podobne do tych pozorów pracy, którymi my nasze lenistwo osłaniamy!"

Mamy nadzieję, że czytelnik nie bierze nam za złe tych cytat, które wprawdzie z Renem i Szwajcaryą nie mają żadnego związku, ale lepiej niż co innego charakteryzują kierunek i znaczenie książki. W tej też nadziei, jako *pendant* do poprzednich cytat, przytaczamy jeszcze jeden ustęp:

„To grunt teraz, aby każdy z nas działał tak, jak gdyby na nim jednym losy ojczyzny spoczywały, jak gdyby od niego jednego miała się cała społeczność odrodzić. Kiedy kto straci najdroższą osobę, kiedy z bogacza stanie się nagle nędzarzem, kiedy mu wszystko, co miłował, dla czego żył, odebranem zostanie; cóż go wstrzymuje nad przepaścią rozpaczy, co go znowu wiedzie w czynne życie, w życie obowiązku i trudu? oto głos sumienia, głos Boga: *Esto vir*. I każdemu z nas po utracie wielkiej i niepodległej ojczyzny, pod ciosami uderzającemi coraz groźniej we wszystko, co nam drogiem jest, ten sam głos nakazuje: *Bądź mężem*. I gdyby nas ze wszystkiego odarto, jeszcze na żałosne pytanie: I cóż ci pozostało? każdy jak Medea odpowiedzieć winien: *Ja*. Otóż to *Ja*, gdziekolwiek postawione, do jakiegobądź stanu lub zawodu należy, winno się uzbroić w niezłomną wolę, i tak żyć, tak działać, jak gdyby zeń miał znowu wyrość i wykształcić się wielki i potężny naród. Skoro każda jednostka weźmie na siebie i ile sił spełni to zadanie, całość w danym czasie od razu się złoży. Są to komunały. Może mnie także nazwiesz martwym drogowskazem. Mniejsza o to, byleś osiadłszy w domu przypomniał sobie, jeźliś co słusznego i użytecznego znalazł w mych uwagach."

Sądzimy, że te ustępy potrafią zachęcić do odczytania książki, która jako całość przedstawia kształty nieforemne, ale z której promieniuje wszędzie wzniosła myśl, urodzona ze szlachetnych a głębokich uczuć i z boleśnych a długich doświadczeń.

Józef Tretiak.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXX.

Tegoroczne odczyty p. Stanisława Tarnowskiego pamiętne będą protestem publiczności przeciwko doktrynom prelegenta wygłaszanym w pismach, odczytach etc. etc. Nie będziemy tu zajmowali się ani samymi odczytami, ani rozbiorem kwestyi, czy właściwa była forma, jakiej użyto dla zaznaczenia, że publiczność lwowska potępia teorye p. hrabiego.

Jedno tylko notujemy *ad aeternam rei memoriam*. Były to pierwsze odczyty w polskiem mieście, dla polskiej publiczności, o literaturze polskiej, wygłoszone przez Polaka, które się musiały odbyć przy pomocy licznie zgromadzonych policyantów.

* * *

W ubiegłym tygodniu nastąpiło otwarcie sezonu teatralnego we Lwowie. Zdawało się, że publiczność, wygłodzona dwumiesięcznym postem teatralnym, powinnaby była żarłocznie rzucić się na to pierwsze przedstawienie; — tymczasem natłoku nie było wcale, i dużo lóż, a nawet krzeseł parterowych świeciło pustkami.

Teatr przedstawił się nam w odmiennej postaci. Naprzód dzięki zwiększeniu liczby lamp bocznych daleko jaśniej teraz w amfiteatrze jak było przedtem, i toalety pań z lóż niższo-piętrowych mają się teraz w czem kąpać. Bardzo być może, że dotychczasowy brak światła był powodem, że loże dotychczas w znacznej części bywały puste, do teatru bowiem jak wiadomo nie wszyscy idą dla tego tylko, ażeby widzieć, co się dzieje na scenie, ale zarazem i dlatego, ażeby być widzianymi. Dopiero jedno w połączeniu z drugiem stanowi dla tych osób zupełną przyjemność artystyczną. A i ci, co nie przychodzą dla pokazania się, będą korzystali także z obfitości światła, bo zamiast poziewać w dłuższych przestankach między aktami, będą mogli bez wytężenia wzroku robić przegląd twarzyczek i toalet, garnirujących amfiteatr.

Z innych zmian, któreśmy dostrzegli w teatrze, najradykalniejszą jest zmiana na parterze. Nie ma już niezgrabnej rogatki, która dzieliła parter na dwie połowy i z jednej z nich, dalszej od sceny, czyniła coś w rodzaju kurnika. Obecnie cały parter zalegają krzesła; przez środek parteru od głównego wejścia do sceny jest szerokie przejście do krzeseł po obu stronach.

Bardzo szczęśliwym jest także pomysł urządzenia miejsc numerowanych na galeryi. Jest bardzo wiele osób ubogich, które pozbawiają się przyjemności teatru dlatego, że nie mają do stracenia guldena, a nawet pół guldena, a na galeryą dla braku miejsc numerowanych i wynikającego ztąd natłoku, nie miały iść ochoty.

O samem wstępnem przedstawieniu, które się składało z drugiego aktu „Konfederatów Barskich“ Mickiewicza i „Dam i Huzarów“ Fredry, to tylko zanotujemy, że ustępy w konfedratach, wymierzone przeciw Moskwie, niejako pieczętowane były grzmiącym oklaskiem. Markiem, jak zawsze, był p. Ładnowski, i gra jego głównie ożywiła ten wyjątek z Konfederatów, dość mało życia scenicznego mający. „Damy i huzary“, wiecznie młoda komedya Fredry, budziła jak zawsze wesołość.

Piśmiennictwo włoskie.

W jednym z tegorocznych zeszytów, czasopisma włoskiego *Nuova Antologia*, znajdujemy odpowiedź p. Domenica Berti na napaści, których celem stał się on od czasu napisania dzieł o Koperniku i o Galileuszu. Ażeby dać pojęcie o tym sporze, roznamiętniającym uczonych włoskich i niemieckich, musimy się cofnąć trochę wstecz i przedstawić jego początki.

Słynny proces Galileusza opiera się na dokumencie, o którego autentyczności w przeciągu dwu wieków nikt nie powątpiewał. Według wersyi przyjętej ogólnie przez historyków aż do bardzo niedawnego czasu, Inkwizycya rzymska zaniepokojona doktrynami, które rozgłaszał wielki astronom zwołała w r. 1616 radę teologów, której przedłożyła następujące zdania: Io Słońce jest środkiem świata i jest nieruchomem. IIo Ziemia nie jest środkiem świata i rusza się. Rada uznała, iż pierwsze z tych zdań jest fałszywem i niedorzecznem, a drugie fałszywem, niedorzecznem i heretyckiem. Dnia 25go lutego papież poruczył kardynałowi Bellarmine, zawołać Galileusza przed siebie i zmusić go do zrzeczenia się zdań, które rada teologów potępiła. Na wypadek, gdyby nie chciał usłuchać, komisarz generalny Inkwizycyi miał mu doręczyć rozkaz pisemny, zabraniający rozszerzania błędów mową i pismem. Galileusz przyjął podane warunki. Rozkaz wręczony mu został dnia 26go lutego w obecności świadków.

Na początku r. 1632 ukazały się we Florencyi *Dyalogi o systemach świata Ptolemeusza i Kopernika*. Inkwizycya przywołała autora do Rzymu i Galileusz był osądzony i skazany za nieposłuszeństwo rozkazowi wyżej zacytowanemu.

Lecz obecnie archiwa Watykańskie stały się dostępniejszemi i wielu erudytów miało dokumenta tyczące się sprawy Galileusza we własnem ręku; wydano wiele nowych przyczynków do historyi procesu. Pojawiło się wskutek tych poszukiwań kilku krytyków historycznych, na czele których stoi Niemiec Emil Wohlwil, który utrzymuje, że Galileusz był skazany na podstawie fałszywego dokumentu; że opowiadanie, wyżej przytoczone, o komisarzu generalnym jest prostym wymysłem, i że zfabrykowano rozkazy po ukazaniu się Dyalogów w r. 1632, umyślnie w celu potępienia Galileusza. Dr. Wohlwill rozwinął z wielką siłą przekonania motywa, które go zniewoliły do wydania podobnego sądu, w broszurze, która się ukazała w Berlinie w r. 1870. Prawie jednocześnie ukazała się we Florencyi książka p. prof. Sylwestra Gherardi, która miała także na celu wykazanie nieautentyczności dokumentu. Nareszcie w ostatnim czasie p. Karol Gelber przerobił na nowo całą historyą Galileusza, biorąc odkrycia Dra. Wohlwilla za punkt wyjścia, odkrycia które uważa nie za hipotezy lecz za fakty.

Po ukazaniu się tej ostatniej pracy p. Domenico Berti wziął na siebie zadanie zrehabilitowania dokumentu osądzonego przez krytykę niemiecką. Wywiązała się dysputa między p. Geblerem a Bertim, która się prowadzi w czasopiśmie *Nuova Antologia*.

Sądząc z tonu rozdrażnionego, dysputa nie tak prędko będzie ukończoną, a o jej rezultacie podamy we właściwym czasie sprawozdanie.

Opowiadania chimeryczne pana Kamila Boito są pięknemi powiastkami w których się odbija lekka fantazya, zdolna upoetyzować najbardziej pospolite wypadki. W niektórych z nich, jak naprzykład w Niemym demonie i Nocy Bożego Narodzenia, fantazya ta posunięta jest aż do fantastyczności, lecz fantastyczność ta nie straszy wcale; jest ona łagodną, skromną i nie niepokoi, ani też przygniata. Autor umie swą rzecz tak przedstawić, i tak przenieść nas po za obręb świata rzeczywistego w dziedzinę wyobraźni, że nikt nawet nie szuka prawdopodobieństwa w obrazach mąk, namiętności i katastrof tragicznych. Czuje się zawsze, iż nic podobnego miejsca mieć nie mogło.

Idea, służąca za punkt wyjścia dla niemego Demona, jest bardzo dobrze obmyślaną. Każdy człowiek nosi w duszy swojej, często nawet bez własnej woli, nawet bezwiednie, pamięć lub chęć błędu. Zarodek ten zwiększa się niepostrzeżony. Zapuszcza korzenie we wszystkich kierunkach, opanowuje całą naszę istotę moralną i pewnego pięknego poranku budzimy się zupełnie zepsuci; zdaje się nam, iż jesteśmy uczciwi, a tymczasem jesteśmy występni. Jestto dziełem niemego demona. Ukryty w najgłębszym zakątku naszego serca, oczekuje w cichości, zamknięty w sobie, jednej chwili słabości lub zapomnienia. Wtedy się podnosi, zajmuje jednę część, potem drugą, aż nareszcie ma w ręku swojem całe sumienie. Zapóźno potem wszczynać z nim walkę; i gdybyśmy nawet chcieli, to już sił do tego nie mamy; trzeba było go zniesć u samego początku, trzeba było go odszukać i przepędzić. Na takiem tle haftuje p. Boito swoje opowiadanie, pełne fantastyczności, lecz niezmiernie żywe i przyjemnie się czytające.

Poeta sycylijski, który nie podpisuje swych prac, wydał w Messynie pierwszą część zbiorku zatytułowanego: *In solitudine* (W samotności). W przedmowie tłómaczy się dlaczego zachował anonim. Poco kłaść imię na książce? Jeśli książka jest zła, to ta ostrożność nie ochroni jej od zapomnienia, a jeśli jest dobra, autor nie ucichnie przed ciekawością gorączkową krytyków. Trudno by było zaiste czem innem wywołać prędzej niedyskrecyą, jak podobną przedmową; wnet się też dowiedziano, że autorem jest p. Cannizaro, tłumacz Wiktora Hugo.

Pan Cannizaro mieszka w Sycylii na wsi. Przed nim rozlewa się błękitne morze Śródziemne, nad nim słońce prawie afrykańskie, a sam on powiada, że muza jego jest dzika jak krzaki i kwiaty gór panujących nad Marina di Palma. To też najpiękniejsze znajduje słowa, gdy opiewa cuda przyrody. Główną wadą p. Cannizaro jest zbyteczna łatwość pisania. Wszystko co napisał, zyskałoby na skróceniu, na większem skondensowaniu.

LISTY Z KRAJU.

Krynica w sierpniu 1877.

Przyjechawszy do Krynicy, wyszedłem na „deptak.“ Wiecie, co to deptak? Jest to chodnik, długi około trzystu kroków, zrobiony tuż przed źródłem, na którym gromadzą się codzień wszyscy goście kąpielowi. Otóż znalazłszy się na deptaku, i spojrzawszy do koła, bez trudności odgadłem z min chodzących osób, że wszyscy goście tego roku nudzą się w Krynicy. Dla czego? Na to zapytanie otrzymałem wkrótce odpowiedź. Już kilkudniowy pobyt w Krynicy przekonał mnie, że tego lata brak tu był wielki młodzieży wesołej, pragnącej i umiejącej się bawić. Wśród licznego zastępu pań bladych i osłabionych, rzadko gdzie można było dostrzedz twarzyczkę zdrowszą i weselszą, a obok męzczyzn poważnych, błąkało się zaledwie kilku „gogów fałszywych,“ którzy chcieli być wytwornymi, ale na nieszczęście mimo usilnych starań, nie wzbili się ponad sferę młodzieży „tombakowej.“ Gdzie taka młodzież chce rej wodzić, tam niesłychanie muszą się wszyscy nudzić; to też Krynica nudzi się na śmierć.

Odkąd kolej żelazna połączyła Tarnów z Muszyną, zkąd do Krynicy ledwie mila drogi — miejsce to kąpielowe powinnoby stać się jednem z najpiękniejszych schronisk dla ludzi szukających zdrowia lub wypoczynku. Położenie jest wcale piękne, powietrze doskonałe, wody wyśmienite, a więc Krynica ma wszystko, czego może pragnąć miejsce kąpielowe. Jeżeli mimo to nie ściąga ona tłumów publiczności,

winę za to należy zwalić nie na nią samą, ale na tych, którzy się nią opiekują. W Krynicy jest najpierw tak wielki brak mieszkań, że przejezdny musi nieraz płacić za mały pokoik 4, 5, a nawet 6 guldenów dziennie. Czy słyszał kto w Europie o takich cenach? W Karlsbadzie, Ems, Vichy i Ostendzie mieszkania są nierównie tańsze. Co do restauracyi, tym także nie jedno możnaby zarzucić. Główna i najliczniej odwidzana restauracya pod „Barankiem" jest tak brudna, że przyzwoity człowiek z trudnością tylko do niej wejść się odważa, a jaki w niej ład panuje, o tem możecie się przekonać z następujących faktów. Siadłszy przy stole żądam, by mi podano jaki dziennik. „My dzienników nie prenumerujemy!" — odpowiada garson. Więc restauracya, którą dwa razy dziennie odwidza po kilkaset osób, nie poczuwa się do obowiązku prenumerowania choćby jednego dziennika. Zjadłszy zupę, szukam serwety. „Proszę o serwetę!" — wołam. „Serwety w praniu! — odpowiada garson — dopiero pojutrze będą suche." Więc 48 godzin mam czekać na obtarcie ust! Żądam wody — podają mi piwo, bo woda za darmo, a za piwo trzeba płacić. Taki ład panuje w głównej restauracyi wydzierżawianej od rządu, a zarządca, do którego przecie należy przestrzeganie porządku, ani myśli o zaradzeniu złemu. Dopóki w Krynicy nie stanie hotel porządny, mający kilkaset pokojów i dobrą restauracyą, dopóty Krynica będzie wegetować.

Goście kąpielowi uskarżają się także bardzo na bezład, panujący w łazienkach. Pan lekarz kąpielowy, chociaż z obowiązku swego powinien codzień odwidzać łazienki, pokazuje się tam bardzo rzadko, poruczając wszystkie czynności służbie podwładnej, skutkiem czego kąpiele, zwłaszcza borowinowe, nikogo nie zadawalają. W ziemi, z której robią kąpiele, nierównie więcej patyków i śmiecia, jak ziół mających leczyć chorego. Wanny drugiej klasy, (nie każdy przecie może kupować bilety pierwszej klasy), są tak małe i niewygodne, że kąpiący się jest narażony na połamanie, lub co najmniej na powykrzywianie swoich członków. Czy hygiena pozwala na takie tortury?

W czytelni, znajdującej się na pierwszem piętrze w łazienkach, jest kilka pism kąpielowych, których nikt nie czyta, i 3 czy 4 dzienniki polityczne, które radziby wszyscy czytać, zwłaszcza w czasach tak gorących jak dzisiejsze. To też gdy poczta przychodzi, każdy spieszy do czytelni, ale wkrótce wychodzi niezadowolony, bo kilka godzin trudno czekać na pismo, które znajduje się w innych rękach. Czy zakład jest tak biedny, że nie może zaprenumerować po kilka egzemplarzy pism krajowych?

Co do muzyki kąpielowej, ta byłaby wyśmienitą, gdyby nie to, że każdy z muzykantów gra z innego tonu. Czy i temu nie można zaradzić?

Wytykam ujemne strony dzisiejszej Krynicy, ale czynię to z prawdziwej miłości dla niej. Powiedziałem już wyżej, że odkąd Krynica została połączona z resztą świata linią kolei żelaznej, może i powinna stać się ulubionem miejscem kąpielowem dla całej Polski — wszelako dopóki ład w niej nie będzie zaprowadzony, o takim zwrocie pomyślnym trudno nawet marzyć. Tegoroczny sezon kąpielowy był urozmaicany odczytami p. Henryka Schmitta i przedstawieniami artysty dramatycznego p. Richtera.

W. S.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Kuliczkowski Adam.* Zarys dziejów literatury polskiej na podstawie badań najnowszych pracowników. Wydanie wtóre, poprawione i uzupełnione. Drugiej połowy zeszyt pierwszy. 8-ka. str. od 193 do 320. Lwów, 1877. Przedpłata za całe dzieło 2·70.

— *Oesterlen, Profesor.* Hygiena publiczna i prywatna. Przekład Prof. Henryka Łuczkiewicza. 8-ka. str. 884. Warszawa, 1877. 11 zł.

— *Rodakowski, Hausner, Zacharjewicz.* O sztuce: Malarstwo — Rzeźba — Architektura. 8-ka. str. 29, 58, 29. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1878. 1 zł.

— *Rzewuski Henryk.* Listopad. Romans historyczny z drugiej połowy XVIII. wieku. 8-ka. str. 424. Warszawa 1877. 2·50.

Przedpłata na sześć tomów powieści hist. 10 zł.

— *Stępniewski Tymoteusz Dr.* Goethe, znaczenie jego prac na polu Biologii i Filozofii przyrody. Studyum odczytane na publicznem posiedzeniu Towarzystwa lekarzy płockich w r. 1876, 8-ka. str. 48. Warszawa, 1877. 90 ct.

— *Strzelecki L.* Gospodarstwo rybne i urządzanie stawów (z 116-ma drzeworytami). 8-ka. str. 418. Warszawa, 1877. 3·30.

— *Zdrowe rady* z pola myślicieli zebrane w celu rozwoju praktycznej oświaty przenosi Karol Forster. Trzecie wydanie powiększone, 8ka, str. 167. Warszawa, 1877. 1·35.

— *Ziemssen prof.* Patologia i Terapia szczegółowa. Choroby pęcherza moczowego oraz zboczenia czynnościowe części płciowych u mężczyzn. Przekład dra. Konstantego Grodzkiego, 8ka, str. 152. Warszawa, 1877. 2.55.

— *Ziemssen prof.* Patologia i Terapia szczegółowa. Wykład chorób z zatrucia (Intoxicationen). Przekład dra. Ulaszaka. Warszawa. 7·40.

— *Źródła dziejowe.* Tom VI. Rewizye zamków ziemi wołyńskiej w połowie XVI wieku, wydał i szkicem historycznym poprzedził Aleksander Jabłonowski. 8ka, str. 153. Warszawa, 1877. 1·50.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Literatura, sztuka i nauka.

— Już za dni kilka opuści prasę podręcznik szkolny, *Historya Austryi* Pölitza, w polskiem opracowaniu Józefa Tretiaka.

— Pan Władysław Nowicki napisał i wydał rzecz p. t. „Początki języka polskiego".

— Niezadługo wyjdzie z druku szósta powieść historyczna Kraszewskiego p. t. „Synowie królewscy".

— Dnia 15 sierpnia o godzinie 12tej w południe na scenie teatru wielkiego w Warszawie, odbyła się uroczystość artystyczna, której celem było uczczenie pana Hipolita Meuniera, artysty i reżysera warszawskiego baletu.

Na scenę odpowiednio przyozdobioną, na której zebrali się wszyscy artyści i artystki teatru, zasłużony artysta baletu p. Popiel wprowadził jubilata, przy dźwiękach marsza, wykonanego przez orkiestrę teatru wielkiego.

Obecny na scenie Prezes Dyrekcyi Teatrów złożył życzenia jubilatowi pierwszy, a następnie po przemówieniu pana Popiela, Królikowski wypowiedział tchnącą serdecznością mowę, poczem odczytał wiersz okolicznościowy, pomieszczony na pamiątkowym lazurze wykonanym w lekkim stylu i ze smakiem prawdziwie artystycznym przez cenionego rysownika i artystę p. W. Szymanowskiego. Wiersz przytaczamy w całości:

Kto sztuce służy wytrwale, wiernie,
Kto jej w ofierze sam siebie dał,
Temu, choć często zranią go ciernie,
Jaśnieją w życiu świetne dni chwał.

Tobie jaśniały o Hipolicie,
Każdy cię wielbił ze wszystkich sił,
Jednym tryumfem było twe życie,
Tyś bowiem chlubą tancerzy był.

Nim ci, co dzisiaj w sławy lśnią dymie,
Mogli się nieco od ziemi wznieść,
Już głośno brzmiało Meuniego imię,
Już wszyscy swoją nieśli ci cześć.

W sztuce co ciebie za syna wzięła,
Trudnem dla ciebie nie było nic,
A wszystkie twoje sceniczne dzieła
Uznawał krytyk, uznawał widz.

Tyś scenie syna dał niejednego,
Niejeden pragnął spieszyć w twój ślad,
Byłeś artystą, byłeś kolegą,
Jakich niewielu dziś liczy świat.

Wszyscy dziś dla cię miłością płoną,
Za talent, zacność i dobrą chęć,
I hołd ci niesie kolegów grono,
Gdyś lat wysłużył trzydzieści pięć.

Choć może w życiu znałeś zawody,
I łzawych cierpień miewałeś chrzest,
Zapomnij o nich wobec nagrody
Co dla twych zasług koroną jest.

Po odczytaniu wiersza, panna Cholewicka, prima balerina baletu, wręczyła w imieniu kolegów wzruszonemu do łez Jubilatowi złoty pamiątkowy zegarek, a pan Popiel jednocześnie wręczył mu album z portretami fotograficznemi wszystkich artystów i artystek.

Na uroczystości tej był również obecny dyrektor Teatrów, Foland, sekretarz Dyrekcyi, Smolikowski, oraz inni członkowie Dyrekcyi.

Przy sposobności uważamy za stosowne przytoczyć *curiculum vitae* Meuniego, który dla baletu rzeczywiste położył zasługi.

Urodził się on dnia 14. sierpnia 1825, a w balecie pomieszczonym został dnia 1. lipca roku 1839.

Jako tancerz był on zawsze ceniony przez Dyrekcyą i publiczność i przez czas swego zawodu występował w czterdziestu sześciu baletach i 9-ciu operach. Tańczył niegdyś pierwszorzędne role amantów, a później z wielkiem powodzeniem grywał role charakterystyczne.

W dniu 3-cim maja roku 1866 objął jako nauczyciel szkołę baletu a w dniu 13 tym stycznia 1868 r. powierzoną mu została posada reżysera baletu, którą zajmuje do dnia dzisiejszego.

W dziedzinie choreografii odznaczył się również Meunier jako kompozytor, ułożył bowiem balet w jednym akcie p. t „Na Kwaterze," oraz dwadzieścia dwa bardzo ładne tańce do oper grywanych na scenie Teatru Wielkiego.

Jako nauczyciel wykształcił Meunier dla sceny znaczną liczbę tancerzy i tancerek, między któremi znajdują się pierwszorzędne siły.

— Docent warszawskiego uniwersytetu, p. Zygel, wykładający prawodawstwa słowiańskie, mianowany został profesorem nadzwyczajnym, z zatwierdzeniem na dotychczas zajmowanej katedrze.

— Koncerty Wagnera w Londynie przyniosły dochodu 10000 funtów szterlingów, lecz wydatki stanowią 12000 funtów szt. Strata przeto wynosi 2000 funtów szt. Pokazuje się, że „muzyka przyszłości" jest arcykosztowną.

— Niedawno na cmentarzu paryzkim Père Lachaise postawiono pomnik Auberowi. Odsłonięcie nastąpiło w dniu, w którym przypadała rocznica urodzenia autora „Niemej z Portici". Pomnik, dzieło akademika Lefuel'a wykuty z kamienia, otoczony jest żelazną kratą. Pomieszczony w głównej alei. Przy poświęceniu mieli mowy: pp. Ambroise Thomas dyrektor konserwatoryum, wice-hrabia Delabort, baron Taillort, Alanze i mer miasta Caen, w którem Auber się urodził.

— W jednym z wiedeńskich dzienników, odznaczającym się surową krytyką, czytamy: „Ostatniej niedzieli w kościele Augustyanów wykonano w czasie podniesienia „Pater noster" na solo i chór z towarzyszeniem harmonii. Jestto dzieło młodego polskiego kompozytora Władysława Wieńca. Wywiera ono silne wrażenie nastrojem poważnym i znakomicie zachowanym kolorytem religijnym." Kompozycyą tę produkowano już i w Warszawie w kościele św. Antoniego.

— Nowe mazury, pod tytułem „Postęp pracy" skomponowane przez naszego ulubionego muzyka lwowskiego p. Fabiana Tymolskiego, i poświęcone komitetowi lwowskiej wystawy przemysłowo-rolniczej, opuściły już prasę i tymi dniami pojawią się w handlach księgarskich. Znawcy, którzy już słyszeli te mazury, chwalą bardzo tę nową kompozycyą p. Tymolskiego.

*

— Pierwszego września b. r. rozpoczyna się w galicyjskiem Towarzystwie muzycznem kurs szkolny pod dyrekcyą pana Karola Mikulego.

Następujące przedmioty będą udzielane: Śpiew choralny. Śpiew solowy. Nauka gry na skrzypcach, wiolonczeli i kontrabasu. Nauka gry na flecie, klarynecie i waltorni. Nauka gry na fortepianie, kurs niższy i wyższy. Nauka kompozycyi: a) oddział przygotowawczy, b) harmonia, c) kontrapunkt, d) teorya rytmu i form muzycznych. Nauka gry na organach. Ćwiczenia chóru damskiego i mięszanego. Zbiorowe instrumentalne ćwiczenia uczniów. Nakoniec w bieżącym roku będzie otwarty kurs dla chcących się kształcić na nauczycieli fortepianu, pod osobistym kierunkiem dyrektora Mikulego.

— Orkiestra warszawskiego konserwatoryum, uda się wkrótce do Kalisza.

— P. Zygmunt Noskowski, przebywający obecnie jako dyrektor towarzystwa muzycznego „Bodan“ w Konstancyi, skomponował ośm krakowiaków, które poświęcił i przesłał Lisztowi. W odpowiedzi otrzymał od króla fortepianistów bardzo pochlebny list, w którym Liszt donosi p. Noskowskiemu, iż utwor jego wykonany był w Weimarze przez „znakomitego wirtuoza polskiego, Juliana Zarębskiego.“ Staraniem Liszta nowa kompozycya p. Noskowskiego wyjdzie wkrótce z druku w Lipsku.

— Dyrektor teatru poznańskiego, p. Doroszyński, przesyła w imieniu swojego towarzystwa Józefowi Blizińskiemu zbiorowy fotogram wszystkich artystów biorących udział w „Panu Damazym.“ Artyści fotografowani będą w charakterach ról z tej znakomitej komedyi. Na czele pamiątkowego kartonu pomieszczony będzie portret fotograficzny Blizińskiego, a przygotowaniem tego upominku zajmuje sie zakład fotograficzny panów Karolego i Puscha, fotografów teatrów warszawskich.

— Budowa teatru w Kielcach znacznie postąpiła, dziś już mury doprowadzone są do wysokości drugiego piętra, a obszar przyszłej sali i sceny, dokładnie widzieć można.

— Na wystawę tow. zachęty sztuk pięknych w Warszawie, przybyły następujące dzieła: 1) Brodowskiego dwa obrazy „Przed posągiem Sobieskiego w Łazienkach“ i „Przed pałacem w Łazienkach królewskich. — Portrety“; 2) Le Bruna Piotra „Chrystus błogosławiący dziatki“; 3) Dylczyńskiego Cypryana „Turyści“; 4) Gersona Wojciecha „Krzyżacy w Polsce w XVIII. wieku“; 5) Horowitza Leopolda portret damy; 6) Kiedrowa Piotra dwa portrety dam.

Szkoły.

— W Radymnie odbył się dnia 6 bm. festyn na dochód budowy szkoły i przyniósł czystego dochodu 1747 złr. 12 c. — oprócz pięknego owocu finansowego festyn ten zasługuje na uwagę, że i włościanie wzięli w nim udział. Więcej takich!

— W Czerniowcach uniwersytet liczył w półroczu letniem 1877 słuchaczów 207, między którymi Niemców 79, Rumunów 58, Rusinów 37, Polaków 32 i 1 Czech.

— W Koninie założona zostanie czteroklasowa szkoła filologiczna, utrzymywana kosztem miejscowych mieszkańców. Dyrektorem jej będzie p. Tworkowski.

Stowarzyszenia.

— Z Rocznika Stowarzyszeń wydawanego przez Dr. Al. Zgórskiego dowiadujemy się, że do istniejących 99 Stowarzyszeń przybyło w r. 1876 Tow. zaliczkowych 14. Liczba członków wynosiła 44.718. Stowarzyszenia te posiadają własnego kapitału 1,707.196 złr., obcego 3.290.021 złr. Ruch kasowy wynosił 35,746.022 złr., Daty te wymownie przemawiają za użytecznością kas zaliczkowych, które rychlej jak wszystkie ustawy mogą nas wydrzeć z rąk lichwiarzy.

Przemysł.

— Ks. Sudymt, gorliwy przewodnik duchowny ludu, zaprowadził w parafii Kije zwyczaj, że każdy nowożeniec obowiązany jest zasadzić 20 sztuk drzewek, panna młoda zaś 15. Zwyczaj ten tak przypadł do upodobania młodzieży włościańskiej, szczególniej dziewcząt, że dziś każda, co rok nie 15 ale 30 szczepi płonek, być może ożywiona nadzieją, że gorliwość i praca około upiększenia rodzinnej siedziby prędzej sprowadzi jej ulubieńca. Wobec tak mało zadrzewionych dróg i wiosek naszych, przykład ks. Sudymta godzien jest rozpowszechnienia.

— Rada gospodarcza krakowskiego Towarzystwa sadowniczego czyni starania o wyjednanie u rządu dozwolenia na wprowadzenie jedwabiu z Królestwa Polskiego bez cła. Potrzebne to jest bowiem dla nowo-urządzonej rozwijalni w Krakowie, zostającej pod kierunkiem dyrektora szkoły technicznej dra. Łuszczkiewicza.

— Najrozleglejszą może jest obecnie fabrykacya piór stalowych, wszakże nawet w ojczyznie tego przemysłu tj. w Birminghamie nie wiadomo gdzie i kiedy takowy miał swój początek. Sprzedaż rzeczonych piór stalowych pokazała się w końcu zeszłego wieku, a pierwszy patent na wyrób onych wydanym był przez rząd angielski w r. 1830 Jamesowi Pery. Obecnie w Europie przerabia się tygodniowo na pióra stalowe 640 centnarów stali, co równa się 40 milionom sztuk piór.

ROZMAITOŚCI.

OBRAZKI TURECKIE.

— W dzienniku petersburskim Nowoje Wremia znajdujemy interesujące szczegóły o położeniu i stosunkach włościan bulgarskich.

Między innemi sprawozdawca w liście datowanym 30 czerwca (12 lipca) ze wsi Pawło odległej o wiorst 30 od Sistowa, na szosie prowadzącej do Tyrnowy, a zbudowanem trwale i starannie podczas gubernatorstwa Mithada, donosi, że zatrzymał się wraz z kilkoma towarzyszami, których nazwiska podaje, na jakiś czas w chacie należącej do dwóch braci Sawy i Sidera.

Obaj są żonaci, mieszkają razem wraz z owdowiałą matką, starszy trudni się gospodarstwem — młodszy jest nauczycielem szkółki elementarnej, uczęszczanej przez 40 chłopców.

Za miesiące zimowe, gdy w zimie nie ma lekcyj, pobiera 120 złr. płacy.

Osada włościańska stanowiąca niepodzielną obu własność zajmuje 400 deliumów (33 morgów) gruntu.

Mieści w sobie ogród, winnicę, łączkę, przyzwoitą chałupę z zabudowaniami gospodarskiemi oraz piękny kawał ziemi ornej.

Inwentarz żywy, zasobny, dobrze utrzymany, składa się z kilkunastu koni, wołów, krów, stadka owiec.

Na dziedzińcu uwijają się setki drobiu, w ogrodzie jest kilkadzies'ąt ulów.

Taniość wielka.

Początkowo podróżni płacili za gęś lub indyka po 30 centów, za 10 jaj $7^1/_2$ centa, za parę kurcząt 10 c., za czetwert jęczmienia 1·50 c.

Później, z napływem wojska, wszystko znacznie podrożało, — naiwne Bulgary zdzierali tak jak chciwe Rumuny.

Korespondent dodaje, że jego gospodarze nie liczyli się bynajmniej do najzamożniejszych, — zaledwie do średnio majętnych.

Z osady tej płacili do chwili wyswobodzenia z pod jarzma tureckiego dwa rodzaje podatków, skarbowe i miejscowe.

Do pierwszej kategoryi należą, 1) bedel czyli poduszne od mężczyzn i chłopców starszych nad lat 10 po złr. 3·50. 2) emlak czyli procent od szacunku nieruchomości z 33 morgów 8 złr. 3) heelik podatek od świń po 18 c. oraz od owiec po 35 c. od sztuki. 4) szarab-parass podatek od wina w stosunku 60 c. od 10 wiader.

Podatki te pobiera na rzecz skarbu czorbadżi czyli starosta.

Oprócz tego są podatki przemysłowe puszczone przez skarb w dzierżawę: tu należy tak zwana dziesięcina zamieniona na pieniądze w stosunku np. $7^1/_2$ c. od fury siana, 18 c. z jednej deliumy winnicy, 15 c. od ula pszczół.

Podatki gminne, czyli miejscowe są dwa: podatek szkolny po $1^1/_2$ złr. z chałupy i podatek propinacyjny po 45 c. z osady.

Przeciętiowy urodzaj 6 do 8 ziarn, często 12, niekiedy 20.

Wszystkie podatki, z wyjątkiem pogłównego ciążą zarówno na ludności chrześciańskiej i muzułmańskiej.

Stosunki obu narodowości były dotąd przyjazne. Chrześcianie zabieglejsi, pracowici, byli zawsze zamożniejsi, muzułmanie chętnie się najmowali do roboty, poprzestając na skromnem wynagrodzeniu około 45 c. dziennie bez pożywienia, 30 c. z wyżywieniem.

— Scytyjskie groby. Z Odessy donoszą: Niedaleko Kercz wznosi się góra Mitrydatesa, a na jej stoku południowo-wschodnim nie dawno ciekawy odkryto grób, w twardej, gliniastej ziemi. Ma on kształt czworokątny, a wewnątrz dwa krużganki; ściany podzielone są na kwadraty, w których liczne i rozmaite dają się widzieć rysunki. U wejścia po stronie prawej jest umieszczony portrét mężczyzny w zielonym, po lewej portret kobiety w czarnym stroju. W innych kwadratach malowane są sceny bojowe, po największej części potyczki konnicy. Lance, które trzymają jeźdzcy, są nadzwyczajnej długości. Wewnątrz znaleziono mnóstwo kości ludzkich i jeden złoty olbrzymi guzik. Archeologowie, którzy dotąd grób ten oglądali twierdzą, że nie jest to grecki ale scytyjski grobowiec.

— Statystyka wypadków na drogach żelaznych angielskich następujące podaje cyfry: w ciągu roku 1876 zginęło 1.286 ludzi, rany odniosło 6.112, wypadków spotkania się pasażerskich pociągów było 186, towarowych 57; kotłów na lokomotywach pękło 14. Na tak znaczną liczbę katastrof niewątpliwie wpływa szybkość, z którą biegną tamtejsze pociągi. Szybkość ta, na niektórych drogach wynosi 82 wiorst na godzinę, niekiedy zaś nawet dochodzi do 125!

— We Francyi ma być wprowadzoną obecnie nowość, pod wieloma względami liczne przedstawiająca korzyści. Mianowicie w urzędach stanu cywilnego, po spisaniu każdego aktu, ma być z niego zdjęty fotogram w niewielkim formacie, który będzie wręczony interesantowi. Fotogramy te mają być bardzo dokładnie robione, ażeby w razie potrzeby, przez odpowiednie szkła, można je było w zupełności odczytać. Tym więc sposobem rzeczone akta pozostaną po za sferą wszelkiego niebezpieczeństwa.

— W Niemczech od dość dawnego czasu rozpowszechniło się mniemanie, że wszyscy Niemcy, a głównie Niemki czystej rasy germańskiej, winny posiadać jasno blond włosy i niebieskie oczy. Przed rokiem rząd pruski postanowił zbadać, jak istotnie ta kwestya stoi, i w tym celu wydał rozporządzenie, ażeby zebrano statystyczne dane o ilości dzieci uczęszczających do szkół z oczami niebieskiemi i włosami jasnemi. Rezultat tych badań ogłosiły obecnie gazety niemieckie: Komisya „antropologiczna“ wydelegowana ad hoc utrzymuje, że w liczbie 4,127,766 dzieci uczęszczających do szkół, zaledwie 42,97 pr. posiada tylko niebieskie oczy, to jest mniej niż połowa. Co się zaś tyczy barwy włosów, poszukiwania komisyi były nieco szczęśliwsze, a mianowicie że 72 proc. wszystkich dzieci posiada rude i blond włosy; szatynów jest zaledwie 26 proc., a brunetów wszystkiego 2 pr.

Od Redakcyi.

W. Pan S. W. w Londynie. Bardzo prosimy.

W. Pan E. W. w Jaworowie. Odesłaliśmy d. 22 sierpnia.

W. Pan A. U. we Lwowie. Rękopis drukowany nie będzie. Może Pan odebrać w Księgarni Polskiej.

Tytuł i spis rzeczy do tomu 4 „Tygodnia“, będzie rozesłany przy jednym z najbliższych Numerów.

Treść Nr. 51. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.

Koniec tomu piątego.